

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ
w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Półrocznie . (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Kwartalnie . (12 tomów) „ 3

Za odnośzenie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop. —

Półrocznie . (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —

Kwartalnie . (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH
№ 260.

Podania i Baśni

LU DU



SPISAŁ

ROMAN ZMORSKI.

(R. Zamarski).



Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA

Redakcja i Administracja
47. Nowy-Świat 47.

1902.

2/16

PODANIA I BAŚNI LUDU.

✓
ROMAN ZAMARSKI.

993

PODANIA i BAŚNI

LUDU

w MAZOWSZU

993
p. 100

(Z DODATKIEM KILKU SZŁĄZKICH I WIELKOPOLSKICH)

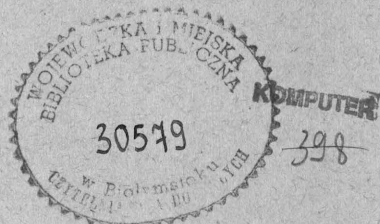
Wojciech

WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZIERSKIEGO

47. Nowy-Świat 47.



821.162.1-343.4:398.2 (438)

Дозволено Цензурою.
Варшава, 25 Ноября 1902 года.



34.
R. 714
26/3.46

PRZEDMOWA.

Puszczając w świat nowe wydanie „Podań i baśni” Zamarskiego (Zmorskiego) po upływie połowy stulecia (pierwsze wydanie we Wrocławiu, r. 1852), poprzedzamy je kilku słowami przedmowy, mającej zastąpić długi, a na dziś już zbyteczny może wstęp do wydania pierwszego. Dzisiaj już nie potrzebujemy polecać zbioru baśni ludowych obszernem dowodzeniem naukowej użyteczności jego: nauka etnografii i folkloru w czasach naszych na mocnych podstawach oparta, szeroko i umiejętnie rozwinięta, nie potrzebuje już uzasadniania znaczenia jej i pożytku; niezliczone zbiory podań ludowych wszystkich narodów, ogromny zastęp pracowników i czasopism na tem polu, świetne odkrycia mitologiczne, obyczajowe, ludoznawcze i dziejowe, wysnute z badań nad rzeczami ludowymi, świadczą o żywotności tej gałęzi wiedzy i o jej użyteczności. Nie mówiąc o zdobyczach naukowych w tym zakresie za granicą, dość wspomnieć o gorliwej uprawie jej u nas. W ciągu ostatnich lat 20 do 30 piśmiennictwo nasze wzbogaciło się setkami tomów, zawierających niewyczerpane i niewyzyskane jeszcze zasoby etnograficzne, że wymienię tu 30 tomów „Ludu” Kolberga, prace Federowskiego, Kozłowskiego, Nadmorskiego, Rogera, Świę-

tka i wielu, wielu innych, których nazwiska figurują w kilkunastu tomach „Biblioteki Wisły,” a których przyczynki zapełniają czasopisma specjalne: szesnastnaście tomów „Wisły,” dwadzieścia trzy tomy „Zbioru wiadomości do antropologii krajowej” i „Materiałów antropologiczno - archeologiczno - etnograficznych,” osiem tomów „Ludu” lwowskiego. Założone w r. 1894 we Lwowie Towarzystwo ludoznawcze rozwija się pomyślnie, ma kilka filii i wydaje czasopismo „Lud.” Zbiory przedmiotów etnograficznych, prowadzone początkowo w Bagateli, pomnożyły się znakomicie ostatnimi laty i obecnie zajmują kilka sal w warszawskim Muzeum przemysłowym, oczekując obszerniejszego lokalu. Zajęcie ogółu, pochodzone zwrotem do rzeczy swojskich i ludowych, wyraziło się w rozpowszechnieniu zamięłowania do budownictwa w stylu krajowym i wogóle do popierania wątków miejscowych w sztuce stosowanej.

Takie to postępy w ostatnich lat dziesiątkach uczyniło zapoznawanie się z rzeczami ludowymi. Ale przed pół wiekiem było i u nas i gdzieindziej wcale inaczej. Zmorski znał w literaturze naszej tylko parę zbiorów pieśni i jeden baśni, mianowicie Wójcieckiego „Klechdy” (1837). Tyle tylko mieliśmy naówczas z dziedziny podań ludowych. Słusznie więc pisze Zmorski: „Jest to tak niezmiernie mało w porównaniu z rozległością przedmiotu, że pracę około poznania podań ludowych bodaj za rozpoczętą już uważać się godzi.”

Więc przynosi swój przyczynek Zmorski: „Kilkanaście podań i baśni gminnych, z wyjątkiem kilku pomniejszych, z Mazowsza pochodzących, które w tej chwili mam pod ręką w stosownem do ogłoszenia obrobieniu.”

Co przed pół wiekiem nazywano „obrobieniem,” to łatwo wyrozumieć, czytając „Klechdy” Wójcieckie

go i „Powieści” Berwińskiego. Mniemano wówczas, że bajka surowa, tak jak lud ją opowiada, nie nadaje się do druku, upatrywano w niej bowiem nie materiały etnograficzne, lecz utwór „literatury nadobnej;” skutkiem takiego poglądu retuszowano oryginał, dodawano rozmowy, opisy miejscowości, morały, ba, nawet szczegóły z własnej głowy. Uczciwy Zmorski przyznaje się do używania tych kosmetyków: „Czuając się żywą ludu swego częścią, zachowałem sobie zupełną swobodę w szczegółach ubocznych lub obojętnych. Wprowadziłem do niektórych powieści akcesorya i koloryt właściwszy czasom, do których prawdopodobnie rzecz bajki odnieśćby się dała.”

Dzisiaj wszelkie podmalowywanie podania ludowego poczytujemy za grzech śmiertelny; idziemy wszyscy za prawidłem, aby ani z baśni, ani z pieśni „słowa nie wyrzucić;” wymagamy zachowania nawet gwary, w której była opowiedziana; domagamy się podania daty, miejsca i nazwiska osoby opowiadającej.

Porównywając jednak clikie gadulstwo Wójcieckiego i Berwińskiego, którem rozwodniali ośnowę bajek ludowych, przyznać należy słusność Zmorskiemu, że był daleko wstrzemięźliwszy od nich w „obrabianiu;” baśni jego znacznie bliższa jest formą wiejskiej gadki i nie nudzi nienaturalnością. Styl jej wszakże jest nie ludowy, literacki. Czuł to sam Zmorski, mówiąc, że „wziawszy pióro do ręki, nie mogłem przezwyteńczyć nałogu książkowego języka; z drugiej strony mniemam jednak, że pisać tak, jak się mówi podobne rzeczy, byłby niezmiernie niewdzięczny sposób.”

Jakżeby zdziwiony był, gdyby mógł czytać dzisiaj naprzykład przepyszne bajki Sabałowe, albo tryskające życiem i dowcipem powiastki z Przasnyskiego, ogłoszone przez Stan. Chełchowskiego!

Mimo te strony ujemne, których ujemność do piero po upływie połowy stulecia i po zasadniczej

zmianie poglądów na jaw występuje, zbiorek podań Mazowieckich i dzisiaj nie stracił wartości: zawiera on szczerą prawdę, bo porównanie ich z licznymi, później ogłoszonymi, przekonywa, że w głównej osnowie autor niczego nie sfałszował, a jeżeli pisał stylem literackim, to styl ten jest, bądź co bądź, szlachetnym, a język poprawnym i czystym.

Usunęliśmy zbliżenia i porównania z innemi, bądź naszemi, bądź obcemi baśniami; obecnie bowiem koło zestawień tak się rozszerzyło, że paralele, nasywające się przed pół wiekiem, stały się zbyt liczne; operujemy dzisiaj olbrzymim materiałem, ogarniającym wszystkie części świata i nie możemy już przestawać na drobnych kropelkach, kiedy mamy „morze do wypicia.”

Zbiorek Zmorskiego pozostanie nazawsze drogą nam pamiątką jednego z pierwszych zbieraczy podań naszych, który czuł i przeczuwał doniosłe ich znaczenie.

Jan Karłowicz.

Warszawa, w maju 1902.

SOBOTNIA GÓRA.

Podanie.

Ależ bo wówczas, ziemio staroświecka!
Dzisiejsze cuda cudami nie były:
Grały widomie niewidome siły.

Seweryn G.

Pocziwa jedna staruszka, wdowa, miała trzech synów, których niezmiernie kochała. A był każdy z tych synów innego rzemiosła. Najstarszy był organistą przy kościele parafialnym, wielce mądrym i uczonym, że czytał na każdej książce, nawet z pisanego, i podobno, że sam mógłby kantyczki składać: był przeto w wielkiej powadze u wsi całej — ba! i u samego plebana. — Drugi, średni, służywał wojskowo i był rycerz bardzo zacny; tułając się zaś po różnych krainach napatrzył się i nasłuchiwał niemało takowych rzeczy, o których nikt dotąd doma jako żyw nie słyszał, i przeto także miał szacunek ludzki, jako rozumny a wojenny mąż. — Najmłodszy brat był sobie po staremu chłopem, orząc ziemię w pocie czoła, jako ojciec jego przedtem, i wierząc,

wszczerości ducha, we wszystko, co oni wierzyli, ani dbając na mądrość brata organisty, ani na nowiny żołnierza, dlaczego też u obojga w niewielkiej stał cenie i głupcem od nich był zwany. Wszyscy zaś trzech bracia, jako pocziwi synowie, płacili miłość matce wzajemną serdeczną miłością, starając się dnia każdego, by radość i wszystko dobre było z nią w jej starości.

Aż oto dnia jednego stało się nieszczęście, że niebogą starowinę porwały w nocy boleści niezmierne, od których jęcząc pobudziła dzieci, że zbiegły się do jej łóża, wielce strapieni i trwożni, a co począć nie wiedzący.

— Już no ja tu przy matce zostanę, i czuwać będę nad niemi, a wy jeno bieżcie co żywo do mądrej, w lesie u starej mogiły, by przysłała chorej z pomocą—rzekł do braci organista.

Oni tedy, górą, dołem, biegli do starej mogiły, do spustoszonej chaty, gdzie mądra mieszkała, i znalazłszy babę, wiedli w skok do wioski. Kiedy byli blisko domu, patrzą, aż ci organista stoi przed wrotyma.

— A co? jak matce—spytał.

— O! już im lepiej być musi, bo przestali całkiem jęczyć; leżą cichutko w łóżku, pewnie śpią.

Baba weszła do chałupy, stanęła około łóża, dotknęła ręki staruszki i rzekła, kiwając głową:

— Iścież waszej matce lepiej, a nie nie boli jej już, bo oto cała skostniała; widać chwila już jak zmarła.

Na te słowa w chałupie powstał lament niesłychany. Wszyscy trzech synowie zawodzić jęli, tłukąc

głowami o ścianę, rękoma rwąc do krwi ciało, tak okropnie, że aż baba, co jako żywa nigdy jeszcze żalu takiego w ludziach nie widziała, zlitowała się nad nimi.

— Ha! jeżeli tak straszny po matce wam żal, toć wiem jeden jeszcze sposób wrócić ją do życia. będzie li tylko który chciał narazić własnego żywota. Pomódz jej może choćby jedna kropla żywej wody, co za trzema rzekami, za trzema puszciami bije na Sobotniej górze, z pod gadającego drzewa, na którym siedzi zaczarowany sokół. Zajść, i nazad ztamtąd powrócić, stanie na to siedem dni czasu; ale wielu już chodziło, żaden zaś dotąd nie wrócił z tej drogi. Kto chce wniknąć na wierchołek góry, musi iść prosto przed siebie, cokolwiek spotkałby na drodze, albo za sobą posłyszał, broń Boże jeden krok w prawo, lub krok jeden w lewo zboczyć, albo spojrzeć po za siebie, w tej chwili wrośnie kamieniem w ziemię.

A jest na owej górze pokus i strachów niemało, tak, że nikt jeszcze, jak ona stoi, do wierchu dojść nie potrafił. Chce li z was który szczęścia poprobować? niechajże pójdzie przynieść ztamtąd wody, a matka wasza żywa znów będzie. Droga do góry za południem słońca.

Ledwie baba za drzwi wyszła, bracia dalej z sobą w radę. Każdy zarówno rad był iść w drogę na przeciw wszystkim strachom, byle wskresić zmarłą matkę; lecz średni brat się odezwał:

— Słyszeliście, moi bracia mili, że w tej podróży trzeba nielada odwagi; iścież tedy mnie ona przypada. Ja, com już nieraz zajrzał śmierci w oczy, pe-

wno się byle czego nie zlekne i choćby dyabłu kroku dostoję. Dajcież mnie, że tam pójde, a w tydzień oczekujcie powrotu mojego z żywą wodą dla naszej matki.

I pożegnawszy braci, przypasał wielki miecz do boku swego i puścił się w świat, idąc za południem słońca...

* * *

Minął dzień jeden, i drugi, i trzeci, wreszcie tydzień się ku końcowi miał; bracia w domu pozostali wyglądają niecierpliwie; żołnierza znikąd ni widu, ni słyhu. Gdy tydzień z górą już minął, biegli do baby po radę, czemu tak długo brat ich nie powraca?

— Daremnie go nie czekajcie—odpowie im mądra baba—już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na Sobotniej górze, kamieniem w ziemię wrośnięty.

Zafrasowali się okrutnie bracia, a powracając do domu sporzyć się ze sobą wzięli, któremu teraz iść w drogę po żywą wodę dla matki. Lecz organista rzecze z urąganiem:

— Co, ty? ty głupczel! Ty miałbyś tam wskórać, gdzie twój starszy brat nie wskórał?... Lepiej tam głowy potrzeba, żeby się nie dać zwiesić szatańskiej mocy. Ja to wiem dobry sposób na dyable pokusy: niech-no tam tylko pójde ze święconą wodą, a zaklnę biesa po łacinie, zobaczysz, czy mi podoła!

I wzięwszy na siebie kropielnicę z kościoła,

w rękę kropidło, kantyczki w zanadrze, ruszył za południem słońca...

* * *

Znów minął dzień, drugi, trzeci—tydzień cały; brat młodszy próżno wypatrywał z chałupy swojego starszego—ni go widu, ni go słyhu! Biegł tedy znów do baby po radę, co znaczy, że brat nie wraca?

— Daremnie nie oczekuj go—odpowiedziała mu baba—już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na Sobotniej górze, kamieniem w ziemię wrośnięty.

Zafrasował się syn wdowi bardzo nad brata wtórego utratą; ale niewiele myślący biegł co tchu do domu i, wzięwszy bułkę chleba do opałki, kosę nastaliwszy, przewiesił je przez ramiona—i poszedł ku południowi słońca.

* * *

Szedł jeden dzień, drugi, trzeci dzień; przez trzy rzeki się przeprawił, przez trzy wielkie przeszedł bory; na trzeci dzień o zachodzie słońca stanął pod Sobotnią górą. Stanąwszy, spojrzy: aż tu góra niezmierna, że wierzchu za chmurami nie widać, dźwiga się stromo ku niebu, za nią ze wszech stron las czarny. Ogromne dęby, sosny, buki, jodły, jakby jedno na drugim wyrastało, sterczy drzewo nad drzewem, coraz wyżej, coraz wyżej. Pomiędzy niemi, za niemi, gąszcz cierni, głógów i ziół jadowitych, ramowiska skał ogromnych, całe zielone od

wilgotnych mechów, pośród nich żmij, padalców, gadów całe gniazda wiją się i syczą okropnie... Strach spojrzeć, coż dopiero iść tam, a znikąd ścieżki, ani drogi.

Wdowi syn podumał chwilę, wspomniat na matkę swą martwą i, wzięwszy Boga na pomoc, zaczął się drapać ku górze. I dał się, coraz to dalej, nie dbając na ostre skały, co mu stopy kaleczyły, na gadziny jadowite, co mu nogi obwijały, kłusząc żądłami bolesnemi, ani na zielska trujące, co mu szarpały ciało kolcami i do ust same się cisnęły obmierzłym, śliniącym swym owocem.

Niedaleko jeszcze uszedł, aliści jednym razem słyszy za sobą wołanie:

— Hej! hej! człowieku! a gdzie to idziecie? Zbłądziliście, nie tędy droga.

Już, już tylko co się miał obejrzeć, na szczęście przypomniał sobie słowa mądrej baby, i nie zważając na owo wołanie szedł prosto przed siebie. Za chwilę, po lewej ręce, zjawia się przy nim inny podróżny, kuso z niemiecka ubrany.

— Dzień dobry—rzecze kusy, zdejmując grzeźnię trzyrożny kapelusz—a dokąd to, przyjacielu?

— Juści że nie gdzie, jeno na tę górę—odpowie syn wdowi.

— A czego to wam tam trzeba?

— Idę nabrać żywej wody.

— A no! to nam jedna droga, bo i ja także idę po tę wodę. Idźmyż razem ze sobą, będzie nam weselej.

— Jak chcesz.

— Ale nie tą przecie drogą! Po co tu drzeć

się i krwawić, kiedy, spojrzysz tylko na lewo, wygodnie drogą iść można.

Wdowi syn spojrział na lewo, i w rzeczy samej zobaczył wygodny, gładki, jak stół, gościniec, lekko ślimakiem wijący się ku górze.

— No, chodźże na drogę!—nalegał niemieczyk.

— Idź sobie sam, kiedy chcesz; ja pójdę tak, jak zacząłem.

— Ależ pójdź!

— Mówię ci, że nie pójdę.

— To idźże sobie, głupcze, na złamanie karku!—zazgrzytał z wściekłością niemieczyk, odskoczył w stronę i zniknął...

* * *

Wdowi syn piał się, jak zaczął, przed siebie, aż wtem słyszy za sobą nagle trzask i hałas niestychany, szczekanie, wycie, jakby tysiąca zła psów i wilków i szczwanie dyabelskim głosem:

— Huż go ha! hużha! hużha!...

Coraz bliżej, coraz bliżej dogania go ujadanie straszliwej psiarni; już tuż za nim, już oto za nogi go chwyta...

Tylko co się miał obrócić, kosa się od nich odegnąć, alić wspomniat sobie na rady mądrej i zamiast po za siebie dał przed się krok żywo...

W tej chwili wrzask, trzask, szczwanie, szczekanie ucichło; tylko śmiech długi, rozgłosny, z wichrem zaszumiał po lesie...

Jeszcze nie zdążył zupełnie ochłodnąć z przestachu, a oto idzie strach nowy. Naraz wśród cie-

mności nocnej taki od wierzchu ziemi blask uderzył, jakgdyby słońce, co już dobrze zaszło, znów na jej szczycie wschodziło.

Zdziwiony podniesie głowy i widzi, że las całutki, co na jego drodze stoi, płonie w jednym płomieniu, aż całe niebo goreje od łuny, jakby od żółtych słonecznych. Im bardziej zbliżał się ku niemu, tem bardziej płomień rósł i buchał; gorąco jeszcze zdaleka zaczęło go piec, a przed oczyma jego ogromne drzewa puszczą, jak rozpalone głównie w kominie, całe roziskrzzone padały z trzaskiem jedno na drugie, grodząc przed nim drogę.

Na ten widok okropny ogarnął go strach; lecz kiedy wspomniął na swą martwą matkę, zapomniał wszelkiej trwogi i rzucił się w bór ognisty. I choć w zarzewiu nogi do kolan mu grzęzły, dech gorąco zatykało, dym czarny oczy mu wyżerał, szedł na oślep przed siebie; aż cały zziębnięty, poparzony, bez tchu prawie, przedarł się wreszcie za to piekło ogniste.

* * *

Wyszedłszy, spojrz przed siebie: aliści i wierzch już blisko! ucieszył się tedy w sercu, że już celu niedaleko.

Lecz gdy raz wtóry spojrz znów ku górze, radość się rychło w kłopot i smutek zmieniła, kiedy zobaczył skałę, jak ściana prosta, sterczącą wśród drogi swojej.

Dopiero gdy wejrzy raz trzeci, widzi, tuż u spodu skały czerni się ogromna jama, a na wnijsciu jej

spi, chrapiąc, straszny, siedmiogłowy smok... Wdowi syn zciha podkradać się zaczął, chcąc we śnie zabić groźnego potwora; ale smok, skoro ludzkie kroki posłyszał, zerwał się ze snu na nogi, zaryczał wszystkimi siedmioma paszczami, aż się wstrząsła góra cała i kłapiąc strasznie zębami, ziejąc siarczyste płomienie, szedł przeciw niemu.

On też, nie czekając, poskoczył naprzeciw bestyi: siedem razy kosą świsnął, co ciął, to padnie łeb smoczy, i krwią pluszcząc w dół się toczy... Kiedy ostatni łeb odpadł, wdowi syn wszedł w jamę smoczą.

Smocza jama była straszna, ciemna aż czarno, siarczystego dymu pełna; a ciągnęła się tak długo, jakby końca nie miała. Biednemu wędrowcowi język w ustach kołem stanął, przysechły do podniebienia od pragnienia i duszącego paru; wtem, kiedy się na poły żywy ledwie wlecze, z boku, z rozpadliny skały, ujrzy jasność wpadającą i zaleci go woń cudna. Pojrzał ciekawie: — i oto, widzi ogromną jaskinię, jakgdyby kościół największy, a w niej ogród precudowny, majową trawą pokryty, pełny róż i lilii wonnych. Na murawie drzewa różne, z rumianami owocami, chylą się ku srebrnej strudze... Zgłodniałemu, spragnionemu, ślina do ust płynęła; więc co żywo, odwróciwszy oczy, szedł dalej, co sił starczyło.

Aleć dalej znów z ściany skały jasność go uderzy — i przez wąską rozpadlinę widać niezmierną pieczarę; złota lampa, na złotym ^{Białym} ~~białym~~ ^{stoku} ~~stoku~~ paliła się u sklepienia, — a w około ścian stoja ćwierci, korce, kadzie całe, pełne po wierzch srebrem, złotem, klej-

notami najdroższymi.—Lecz wdowi syn nie był chciwy; ani się kusząc skarbami temi, przeszedł pomimo nich dalej.

I znów, ledwie wyszła chwila, posłyszysz cudną muzykę i śpiew, jakby stu słowików; a przez rozwarłe na oścież w boku opoki podwoje, świeci się sala złocista. Wśród niej, po miękkich kobiercach, dziesięć dziewic urodziwych, w przezroczystych jak mgła sukniach, płasza po cudownej muzyce, przyspiewując sobie. Gdy młodzieńca obaczyły, wstrzymały się w tańcu, i jedna, co najcudniejsza, podbiegłszy ku podwojom, pocznie się doń wdzięczyć tak mile i ręką wabić i głosem do siebie, żeby świętego skuś mogła.—Ale młodzieniec pozostawił we wsi swej dziewczynę, lilią białą, ukochaną serca; więc, gdy sobie na nią wspomniął, zasłonił ręką oczy i po omacku szedł dalej — — — aż przyszedł do ogromnych drzwi stalowych, zamykających jaskinię.—Zaledwie ich dotknął ręką, drzwi rozwarły się z łoskotem — i on wyszedł na dzień biały — na sam szczyt Sobotniej góry.

* *

Stanawszy, pojrzy ciekawie po wierzchołku góry: i widzi wszystko, jako mu rzeczono było. Na nagiej, by dłoń opoce rośnie jedno tylko wielkie drzewo, ze srebrzystymi listkami, które szumi tak dźwięcznie, jakby sto lir razem grało; z pod krzywych korzeni drzewa tryska źródło jasnej wody, — a na najwyższej gałęzi sokół się chwije złocisty.

Złoty sokół, zaledwie zobaczył młodzieńca, ra-

dośnie strzepnął dźwięczącymi piórami, — roztoczył skrzydła i wzleciał do góry, — aż gdzieś znikł między chmurami.

Wdowi syn, cały z sił spadły, ledwie że się podołał zawlec pode drzewo — upadłszy na opokę począł pić chciwie z krynicy. Alić, ledwie jej usty tylko dotknął, — jakby na nowo na świat się narodził, — poczuł w całym swem ciele wracające siły, a wszystkie rany, w drodze odebrane, tak się zagoiły, że po nich śladu najmniejszego nie zostało.—Zerwał się tedy wesoło na nogi i stanawszy pode drzewem, przy jasnym porannym słońcu, co się właśnie podnosić jęło na niebie, spojrzął z wysokości na świat boży. — W około góry, pola, lasy, wody, wioski, zamki, gródy wielkie, takim mnóstwem, że nie zliczyć, leżały jakby jeden obraz malowany, — a tak cudny, że zda się patrząc na niego, sto lat całe nie napatrzyłby się jeszcze dosyć...

Gdy upojony tym widokiem obwodzi oczyma, posłyszysz nad sobą szum skrzydeł: i sokół złoty, ze złotym dzbanem w dziobie, z wysoka spadł mu na ramię.—Drzewo o srebrnych liściach zaszumiło głośnie, a w śpiewie jego dały się słyszeć te słowa:

„Weźmij dzban ten, chłopcze młody!
Naczerp z źródła żywej wody,
Gałąź ze mnie sobie złom,
I powracaj zdrów do dom.
A gdy będziesz do dom iść,
W żywej wodzie maczaj liść;
Kędy krokiem stawisz nogę,
Świeć do koła siebie drogę.”

Posłuszny wezwaniu temu, syn wdowi wziął więc dzban złoty, — naczerpał w niego przezroczystej

wody, ułamał sobie z śpiewającego drzewa gałąź o srebrzystych liściach, i zaczął spuszczać się z góry. Jako mu zaś było powiedziano, co krok stąpił, stawając maczał gałąź w żywej wodzie i kropił nią dokoła siebie.

I oto, stał się przed nim dziw niesłychany! Gdzie tylko kropla wody upadła na kamień, z kamienia zaraz żywy stawał człowiek, — i radując się i błogosławiąc mu, siedł za nim... Im niżej spuszczał się tak święcąc, tem bardziej, za każdym krokiem, rosła óma ludzi z kamieni odkłetych; — a gdy, stanawszy u stóp góry, obejrzał się po za siebie, ujrzał idący tłum wielki, jako największe wojsko.

Byli to wszystko ludzie, którzy idąc różnemi czasy na Sobotnią Górę, niedoszedłszy wierzchu, w kamień obróceniu zostali.

Byli zaś tam mężowie i niewiasty, starce i dzieci, panowie i żebracy — i także obaj szczęśliwego chłopka bracia: rycerz, z mieczem koło bioder, i organista, z kropielnicą a kropidłem... Cała gromada poczęła dziękować razem zbawcy swemu, że ich uwolnił z zaklęcia, co by zapewnie aż do sądneho dnia trwało, — ślubując mu, iż go nigdy już nieodstąpią, ale wszędy za nim pójdą i póki życia służyć mu będą.

* * *

Szli zatem, wielkim taborem, za wiodącym ich młodzieńcem; aż na trzeci dzień zaszli do wsi, w której mieszkał.

Stanawszy pod chałupą swoją, otwarł drzwi, i podeszedłszy ku postaniu matki, martwe od trzech niedziel zwłoki skropił gałązką mówiącego drzewa,

zmaczanego w żywej wodzie. A oto, nieczkąc chwili, staruszka otwarła oczy, — powstała rzeźwa i zdrowa, jak gdyby nigdy nie chorowała. — Radością szczęśliwego syna rozradowali się wszyscy, i nie było miary uniesieniom i ucieście zgromadzonego mnóstwa...

Były tam przecież dwie dusze, co nie dzieliły powszechnej radości. Byli to dwaj synowie zmarłych wzbudzonej wdowy, — którzy znieść tego nie mogli, że najgłupszy brat ich dokazał, czego oni, mądrzy, niezdolali. — Markocąc sobie ztąd strasznie, a nie chcąc patrzeć na cześć braterską i szczęście, odeszli milczkiem ze swojej wioski i poszli służyć w obcej gdzieś sadybie. — Tam organiście, że nie zbывало na mędrszych od niego, gnój w pole wziąć kazano; rycerz zaś zginął w bójce nie o swoją sprawę.

Tymczasem, na miejscu lichej owej wioszczyny, stanęło rychło ludne i okazałe miasto, a w pośród niego zamek pyszny, — w którym syn wdowi, pojąwszy swoją dziewczynę w małżeństwo, żył szczęśliwie, panując mnogiemu i wdzięcznemu Ludowi.

O DZIADOWYM SYNU.

Baśń.

Dawniej królewna w dziadu się kochała, —
Jest ci to o tem historyja cała.

Pieśń Dziadowska.

Onego czasu, wśród czarnego boru, na biednym, samotnem pustkowiu, mieszkał stary dziad, z młodą

babą, — którą, owdowiawszy niedawno po pierwszej żonie, tylko co był pojął. — Po nieboszczce pozostał mu syn jedyny, spory i rzeźwy wyrostek. Stary srodcze był rozmiłowan w tym jednaku swoim: strzegł go, niby oka w głowie, ani na chwilę niechciał puścić z domu, bojąc się, by go jakie złe gdzie niespotkało. I tak chłopak urósł w lata, nie znając jeno pustkowie swoje i las wedle niego.

Ale młodej gospodyni, zaledwie że się na dobre usadowiła w chałupie, solą w oku począł stać pasierb i w łyżce wody utopić była by go rada. — Jako więc niewiasta umie, jęła suszyć dziadu głowę — rano, w południe i w wieczór — by nie chowając dłużej darmo — lenia w domu (za co Bogu i ludziom przyjdzie zdać rachunek), wygnać go na cztery wiatry, myśleć sobie o kawale chleba. Stary zrazu ani słuchać niechciał; ale jako to zazwyczaj bywa, kiedy mąż stary z młodą sporzy się żoną, uległ nareszcie złośliwej swej trapiicielce. — Że przecież nie miał serca rzec w oczy synowi: „pójdź sobie precz” — baba mu doradziła, żeby wywiódłszy go opodal domu, na rozstaje, porzucił na opatrzność bożą.

Nazajutrz po tej um wie, dziad, — rady nie rady, — szedł obudzić wylegającego się wyrostka, mówiąc:

— No! czas ci to już, mój chłopcze, byś też i ty zaczął myśleć o kęsie ohleba dla siebie. — W Niedźwiedzicach właśnie oto dzisiaj wielki odpust i nie mało z różnych stron luda: pójdźże zemną, zrobić dobry początek.

Tak mówiąc, podawał mu odarte łachmiany, przez które nagie przeświecało ciało, na nogi tylko

we sandały, przez ramię przewiesił kobiel, w ręce dał strugane skrzypice ze smykiem, i wyprowadził w las bezdróżny, — dając po drodze nauki, jak ma udawać kalekę, jaką i gdzie piosnkę śpiewać, jak u kogo o jałmużnę prosić.

— A kiedy będzie przechodzić мимо cię niewiasta, choćby też stara i szpetna, spojrzysz na nią z pod oka i ozwij się słodkim głosem: moja prześliczna, szczeroziota panno! wspomóż dla miłości Matki Przenajświętszej; bodajże ci za to dała najpiękniejszego w świecie królewicza! A kiedy zobaczysz ślachejca, — jako dmąc się, by to pusty pęcherz, idzie oglądając się w koło, czy patrzą ludzie za nim i jego pachotkiem, co mu kazał świeżo wynicować barwę, — dobądź co najmocniej głosu i wrzeszcz, by wszyscy słyszeli: jaśnie wielmożny, oświecony panie Wojewodo! daj szelązek ubogiemu! to on sięgnie się po ziobrach, a dobywszy z wacka na co natrafi, ciśnie, nieoglądając, choćby i czerwony złoty. Kiedy zaś przyjdzie pan wielki, cały w złotogłowi i kamieniach, abo jaki dobrodziej z złożonemi jak do pacierza rękami, to wciśnij się w kąt, jak możesz, a dech zamknij w sobie, żeby ci jakie słówko z ust niewybieżało...

Tak rozmawiając po drodze wiódł dziad syna, to tam — to sam, w lewo — w prawo; aż wyszli, daleko, na wąską jakąś ścieżkę, wijącą się wężem wśród gestwiny. Tu usadowiwszy go pode drzewem na kamieniu, kazał mu czekać na siebie, — a sam, wrzekomo wystrugać sobie krukwie żebrackie, odszedł w zarośla, i nieoglądając się biegł ku domowi. Chłopak, łazęgą długą uznojoną, spartyszył się o drze-

wo, zasnął sobie smacznie, i niezbudził się, dopiero kiedy słońce dobrze się już na dół miało. Przetarł oczy—spojrzał w koło: a niewidząc nigdzie ojca, począł wielkim przyzywać go głosem. Próżno huknął, próżno wołał: tylko przekorne echo odzywa się w lesie głuchym i pomiędzy gałęziami świegoce strwożone ptactwo.

Zmordowany, załamał ręce po nad głową i rzewnymi łzami rzucił się na mech wilgotny. Ale i płacz nie niepomógł; a tymczasem coraz się jęło robić ciemniej w boru i głód biedakowi zaczął się dawać we znaki. Sięgnął ręką do kobieli i z wielką swoją pociechą wyciągnął świeży szmat przysuchy, bochen chleba, flaszkę wódki: — podjadł do syta, popił do woli — i jakby ręką odjął żalność ową srogą! Nowa wstąpiła weń dusza: podstroił sobie skrzypce, powiódł smyk rażno po strunach, i rżnąc na nutę starej pieśni:

Hej! tam na górze
Stoją rycerze...

puścił się śmiało przed siebie.

Za chwilę z ustronnej ścieżki wyszedł na szereki gościniec. Słońce tu jasno jeszcze świeciło i wiatr świeży, biegnąc środkiem, trząsał zielonemi gałęzmi brzoź białych; po gałęziach wesoło skakały wiewiórki, dziecięcy pukały i wrózka-kukułka wesoło kukała.

Nie wiedząc w którą obrócić się stronę, na wschód czy zachód, stanął chłopiec wpośród drogi. Na zachodzie niebo jasne świeciło się, jak złociste

sklepienie w kościele, i cała okolica w purpurowym blasku pływała, jak zaczarowana; na wschodzie kręta się droga w szarej, tajemnej gubiła gęstwinie. I każda strona zarówno nęciła ku sobie oczy: bo w młodości równie uroczym jasną nadzieją i ciemną niepewnością uśmiecha się w sercu. Niepewny, na wilgotnym piasku zaczął upatrywać śladów świeżych ludzkiej stopy, aby się za nimi zwrócić. A gdy tak wodzi po drodze oczyma, zobaczy na żółtym piasku pajaka niezmiernie wielkości, który mocuje się zdusić mrówkę ogromną — w dziesięćkroć wielką nad inne mrówki; i zaczął im się ciekawie przyglądać, jako się z sobą parają. Aż ci na raz posłyszysz, jak mrówka ludzkim odzywa się głosem:

— Człowiecze! dobry człowiecze! ratuj mnie!

Zadziwił się niepomiernie i, niedowierzając uszom, stanął w milczeniu, jak wryty; alić mrówka zawołała znówu:

— Ratuj mnie, przez imię Boże!... swojego czasu ja ci odwdzięczę się za to.

Dziadowy syn, nie czekając dłużej, poskoczył i zgniótł pajaka, a oswobodzona mrówka, podziękawszy, w las biegła.

— Mrówkoż moja, mrówko! — zawołał za nią — kiedyż ci głos ludzki dany, wskaż mi drogę, żeby się z lasu dostać na świat żywy.

— Idź prosto drogą za słońcem, a o świetle zajdziesz do wielkiego miasta, gdzie cię wielkie cześćka szczęście — odrzekła mrówka i znikła.

On zatem, wzięwszy się, szedł jako mu wskazała; szedł długo, długo po piaszczystej drodze pośredkiem gęstego lasu.

Słońce zaszło pomiędzy wybiegłymi sosnami i gwiazdy złote, z księżycem bladym, cicho przyświecały ziemi; z pomiędzy krzywych gałęzi grabowych ciemna wyglądała trwoga... Młody podróżny szedł, szepcząc pacierz i nucąc godzinki, nie poglądając za siebie—póki nie wyszedł wreszcie z boru na otwarte pole.

Środkiem zielonego pola płynęła szeroka rzeka: ponad jej brzegiem, górami, dolami, wiodła krzemienista droga. Przy lądzie wybiegłe trzciny chwiały płowemi kitami i słychać było głośny plusk w sitowiu. Ciekawy, jako był, chłopiec zbiegł żywo do wody, patrząc, coby takiego było: i zobaczył w zastawionej sieci miotającą się ogromną rybę, dziwnego kształtu i barwy. Grzbiet miała ze złotej łuski, skrzele po bokach srebrne, a głowę i twarz człowieczą—i ludzkiemi też ozwała się słowy:

— Człowiecze, dobry człowiecze! uwolń mnie z mojej niewoli, a swego czasu ja ci się odwzięczę.

Dziadowy syn wszedł do pasa w wodę i odwiązał od kołów sieci; oswobodzona ryba rzuciła się radośnie na fale i znikła w błękitnym prądzie.

On szedł dalej, coraz dalej ponad brzegiem bystrej rzeki, nie spotykając żadnej żywej duszy; aż jedną razą posłyszeli z niedaleka krzyk przeraźliwy, bolesny. Pobiegł, co tchu miał, za głosem, i widzi: dwóch parobków wlecze po ziemi nielitośnie starą jakąś babę która próżno im w rękę szamocze się i wrzeszczy w niebogłosy.

Skoro nadbiegającego zoczyła, poczęła prosić żałośnie:

— Piękny chłopcze, przez Bóg żywy! ratuj—mnie, ratuj! Oto te dwa opoje niewinnie mnie topić wloką.

— Toś ty, psia jędzo! niewinna? A kto to moją Kaśkę tak srodze osypał? kto Wojtkowej kobiecie zadał przekłętę, co ją już trzy dni dławii, i wszystkimi świętościami odpędzić się nie da.

— Twoją babę osypało, bo za chłopami latała, kiedy ty spity za piecem leżałeś; a Wojtkową, jako żywo, nie dyabeł, jeno wódka piecze w gardzieli, co jej nad miarę pijała. I z wami się takóž stanie, jeśli pić nie przestaniecie!

— A to ty, nieczysta jucho! wygrażać nam jeszcze będziesz? Dalej z nią, Wojtku, do wody! A ty, chłystku, precz nam z drogi, nie wtykaj nosa, gdzie ci niepotrzeba, nie chcesz li się z nią wraz skapać.

Ale dziadowemu synowi żal się zrobiło babiny i niechciał sucho puścić wyzywania; ujawszy zatem kij oburącz, wpadł z nim na grzbiety złym chłopom. Jako zaś był chłop zdrow i silny, a oni dobrze podpili, nie trwało ani chwilkę, że porzuciwszy biedną kobiecinę, wzięwszy za pas nogi, pierzchli.

— Niechajże ci się wszystko dobrze dzieje, za tę usługę twoją; a jeśli kiedy w swem życiu zażadasz pomocy mojej, zawołaj tylko te słowa:

Babo-dziwa, babo-dziwa!

Przyjdź mi w pomoc, jako żywa!

a skorobym do ciebie nie przysłała pomyśl, że mnie już pewnie w sześć deszczek zabił.

To powiedziawszy, baba-dziwa rzeżko poskoczyła w krzaki i znikła, jakby ją wiatr rozwał.

Dziadowy syn znów wędrował dalej dzikim odłogiem, zarośłami poziomemi; aż też oto i na niebie poczęły się gwiazdy mienić, i jutrznia czerwonym pasem rozciągnęła się na wschodzie.

Naraz wstrzymał się strwożony, poczuwszy zapach krwi gorącej; pojrzał w lewo, pojrzał w prawo—i o kilka kroków z drogi zobaczył świeżego trupa. Był to młodziutki, gładki jeszcze, by dziewczyna, chłopiec, w pięknych bławatnych szaciech; leżał, na wznak rozciągniony, z szeroką na czaszce raną, jeszcze krwią pluszczącą. Rzucił się ku niemu, słuchał oddechu, szukał serca czy nie bije; ale trup już był martwy i chybaby go sam święty Stanisław obudzić potrafił.

Alić, kiedy on się tak koło trupa krząta, nagle zatętniało na drodze i czterech jezdnych zatrzymało się tuż przy nim. Duchem zeskoczyli z koni, a zobaczywszy martwego młodzieńca, z krzykiem wpadli na dziadowego syna, tłukąc go pięściami, za włosy targając, związali twardym rzemieniem mu ręce, wzięli między swoje konie i poganiając płazami, klnąc niemiłosiernie, wiedli ku miastu wielkiemu, wstającemu nieopodal z mgły rannej.

Zabity młodzieniec był to dworzan i wielki ulubieniec króla; wyjechał on zmrokiem z miasta, a z rankiem powrócić miał. Teraz królewscy żołnierze, natrafiwszy zabitego, wzięli go na konie, smutni, tem się tylko pocieszając, że i mordercę wraz królowi prowadzą.

Skoro przed królem stanęli, król, wysłuchaw-

szy świadectwa żołnierzy, dał wyrok śmierci na mniemanego zabójcę, a gdy nieszczęśliwy kłął się na swą duszę, że niewinny, kazał mu król dać na próbę korzec maku, z korcem piasku zmieszanego, żeby przez dobę piasek osobno, a osobno mak odebrał.

Jeśliby tego nie dokazał, miał być, jako winny, nazajutrz stracony.

Zalany szczeremi łzami, siedział dziadowy syn zamknięty w więzieniu, nie mając znikąd nadziei zbawienia, zawołał:

— Mrówko przekłęta! tyś to mnie za to, żem cię od śmierci wybawił, kazała dążyć w tę stronę; otóż mam teraz to szczęście, coś mi je przyrzekała...

— Com rzekła, prawdę wyrzekłam — odezwał się głos z kąta—przeto nie smuć się przedwcześnie; oto idę ci z pomocą.

Chłopiec obejrzał się i zdziwiony ujrzał, przez wązką szczelinę cisnący się do więzienia rój nieprzeliczony mrówek, a przodem znajomą mrówkę którą wydał pajakowi. Całe to mrowie, w jednym oka mgnieniu obsiadło naczynie, kędy mak z piaskiem pomieszany stał, i z głośnym szmerem jęło się do roboty. Nie wyszło kilka godzin, jużci na kamiennej podłodze w dwu gromadach, osobno mak, osobno piasek leżał do najmniejszego odebrany ziarenka.

Ucieszony więzień podskoczył z radości i tyśiąc dzięków dobrej mrówce składał; tymczasem rój ów niezmierny, jak wszedł, tak wyszedł szczyliną.

Minęła nareszcie doba; otwarły się drzwi więzienia, i kat z pacholiki swemi wszedł, wieść skazanego na śmierć — lecz, jak piorunem rażeni, stanęli, widząc sprawioną robotę, której ode człowieka nigdy spodzianć się nie można. Biegli więc do króla z powieścią. Król, jako pan bogobojny, uznał w tem istny cud nieba i więźnia wolno puścić kazał; a chcąc mu krzywdę niewinną nagrodzić, przyjął na dwór swój pomiędzy dworzany.

Błogo i wesoło na królewskim dworze wiodło się życie dziadowemu synowi — a że był arcybystrego rozumu, wkrótce pomiędzy ludźmi otarł się ze swej prostackiej ciemnoty i stał się w krwawej, czy niekrwawej potrzebie biegłym a rozważnym młodzianem — do kielicha też i niewiast nielada graczem. Było zaś tak, że ów król miał córę jedyną, młodziuchną a dorodną i serdeczną. Stało się tedy, że młody dworzanin wpadł w oko cudnej królownie, a za niewiele czasu byli z sobą, jak starzy znają — a rozkochani, jak gołębi para. Przecież biedny młodzieniec musiał kryć statecznie swą miłość, bojąc się gniewu swego króla: trapił się srodze, gdy przyszło cierpliwie patrzeć na dorodne a pańskie zalotniki, oblegające miłą serca jego, i drżał co chwila, aby mu jej który nie porwał.

Czas tymczasem uchodził powoli, nie niosąc z nikąd pociechy, ni nadziei.

Jednego razu król, wraz z całym swym dworem, powracał był z wielkiej gonitwy do swego złotozameczku, co na wyspie warownej, śród rzeki rzucany, przyglądał się w jasnej wodzie swoim ścianom muirowanym. Właśnie gdy na most wjeżdżali, koń

królewski, dziki i twardy, chrapiąc i parskając nozdrzami, stanął dęba i poczał się ciskać; król zachwiał się zrazu na siodle, ale jako dzielny jeździec poprawił się w tejże chwili i wsparłszy konia ostrogą po woli swej iść przymusił. Ale podczas gdy rumak jego skoczył, korona z królewskiej głowy usunęła się i padła na most, a odbiwszy się o deski, potoczyła się do wody. Na to między dworem całym i między ludem, ciekawie patrzącym z brzegów, powstał krzyk niesłychany trwogi, a potem głośny jęk i lament. Była to bowiem korona nieopłaconej wartości, z dawien dawna chowana jak największa świętość, a własność jej była taka, że póki by ją tylko miano w owym kraju, póty naród nie miał się co bać głodu, moru, ani klęski w wojnie; lecz skoroby ją stracono, wszystko złe wnet spaść nań miało. Stała się zatem wielka rozpacz w ludzie i król sam pobladył, załamując ręce.

Woźni królewscy wnet po mieście całym obwołali, że ktobykolwiek potrafił królewską zgubę wy dostać, czeka go nieprzebrana wdzięczność i łaska pańska, a coby sam chciał, choćby najdroższego, w nagrodę dano mu będzie. To posłyszawszy, nie jeden śmiaćek odważył się nurkować po dnie; jedni, jak raz na dno poszli, tak nie wyszli z wody więcej, drudzy, szczęśliwsi, powracali żywi, ale z próżnemi rękoma. Więc co godzina lud tracił nadzieję, wzrastał żal i trwoga; — aż i noc w końcu nadeszła.

Na wilgotnym brzegu rzeki stał smutny dziadowy syn, myśląc o swej królownie, a zwlekając z siebie szaty, mówił:

— Jeśli zdołam znaleźć zgubę, król w nagrodę córkę dać mi musi; nie znajdę li jej i sam przytem zginę, nie nie stracę — bo już i tak nie ma dla mnie życia w świecie bez mojej drogiej dziewczyny.

Kiedy, postąpiwszy ku wodzie, tylko co już wskoczyć chciał, naraz słyszy plusk głośny: fala pień się i na dwoje dzieli—ogromna ryba o złocistym grzbiecie, skrzelałach srebrzystych, z głową jakgdyby człowieczą, podpłyne tu do nóg jego, niosąc w paszczęce królewską koronę. Młodzieniec, żywo wyciągnawszy rękę, pochwycił drogi klejnot; a ryba znów się w modre zanurzyła tonie. On pobiegł, uszczęśliwiony wprost ku królewskim komnatom, zwiastując dobrą nowinę.

Król, który skłopotany, dotąd nie był zasnął, posłyszawszy to, pobiegł go uściskać i tysiączne czyniąc dzięki, pytał, jakiejby chciał nagrody. Natenczas chłopiec ubogi, ściskając pańskie kolana, opowiedział mu swą miłość i prosił o piękną królową za żonę. Zaraz król rozkazał przywołać swą córę, a stawiając przed nią dziadowego syna, opowiedział, co sprawił, pytał chęci mu być żoną? Młoda królowa pobladła, potem znowu zecerwieniła, jako niebo o świecie—i nie mówiąc słowa, podała swemu kochankowi bieluchną, jak lilia, rękę. Król więc natychmiast porzysłał sługi, każąc bić w trąby, kotły i dzwony i zwiastować miastu całemu dwie wesole nowiny: o odzyskaniu korony i zaślubinach blizkich swojej córy.

Cieszył się wielce lud wszystek ze znalezienia cudownej korony i że ten, co tak krajowi zasłużył

się całemu, odbierze godną zasługi, według serca własnego nagrodę. Cieszył się król stary, że mu niebo dało zięcia, co choć bez rodu znakomitego, stał w boju, czyli w radzie za dziesięć paniczów, a Opatrzność widocznie nad nim czuwała. Cieszyła się królowa młoda i przyszły małżonek jej, licząc niecierpliwie godziny, co do zaślubin ich upłynąć miały.

Lecz według słów świętych pieśni:

Niewiadomo człeku ranie,
Co się mu wieczorem stanie.

Gdy się tak wszyscy weselą, stało się, że dnia jednego, gdy wieczór do łóżka się kładła, gwałtowna niemoc padła na królową. Służebne dziewczki, z żałośliwym krzykiem rozbieżały się po zamku, wołając ratunku na ludzi. Kiedy król z lekarzami przybiegli na pomoc chorej, znaleźli ją z sinemi, jak popiół, wargami, z zaciętymi śmiertelnie zębami, całą zimną i skostniałą, leżącą istny trup w łóżku. Daremne były wszelakie zabiegi; próżno wódkami trzęźwili, próżno jej ciało do krwi szczotkami tarli—nie jej przebudzić niemogło. Stary król, zdjęty rozpaczą, począł rwać się włosy siwe; aż mu lekarze przyszli na pociechę powiedzieć, że córka jego, choć wrzekomo martwa, żyje przecie, ale czar na nią taki zły rzucony, przeciw któremu wszystka sztuka ich nienada. Stał tedy król sługi z wieścią do przyszłego zięcia swego, by radził, co począć w takiej srogiej przygodzie.

Zafrasował się dziadowy syn to słysząc — lecz

w tejże chwili na pamięć mu przysłała baba owa, którą wybawił od śmierci. I myślał sobie:

— Kiedyś mi stworzenia marne dały pomoc w swej porze, jako obiecały, czemużby li człowiek nie miał dać jej wedle przyrzeczenia?

Zawołał więc głośno, jak był nauczony:

Babo-dziwa, babo-dziwa!
Przyjdź mi w pomoc, jako żywa!

Zaledwie skończył, wicher zadzwonił szybami, okno na oścież się otworzyło i baba czarownica wpadła na ożogu.

— Ha! jak się miewasz! mój chłopcze? Czegóż trzeba ci odemnie?

On jej wziął zatem rozpowiadać utrapienie swoje, prosząc pokornie o radę. A baba na to:

— Kochanka twoja iście nie zmarła, a żyje; lecz zaczarował ją tak jeden zły czarownik, który sam z nią chciał się żenić. Dowiedziawszy się, że w rychłe wasze wesele, uczynił ci to, ażeby przeszkodzić. Ma on u siebie w ogrodzie takie dziwe ziele, co rośnie w kącie pod murem, że dnia białego nigdy nie widziało i mocą jego czaruje. Ale gdy jeden listek tego ziela położysz na piersi królowny, ona, jakby nie nigdy, zdrowa wstanie. Chcesz li dostać tego ziela — siadaj co prędzej ze mną w drogę.

Niebawem siadł młodzieniec z babą na ożogu, i wyleciawszy przez okno, lecieli, gnani chmurami, wiatrami, aż zalecieli do ogrodu czarodzieja. Znalazłszy dziwne ziele, chłopiec, by mu czarodziej wie-

cej nie mógł szkodzić, wyrwał je z korzeniem i jako przylecieli, odlecieli z powrotem.

Powróciwszy do zamku, do komnaty swojej, skoro dziadów syn wdzięcznie pożegnał się z babą i precz odleciała, urwał z czarodziejowej krzewiny jeden czerwony listek, a resztę rzucił w płomień pieca na zgorzenie. Na to stał się huk srogi ponad zamkiem, jakby się niebo całe na niego waliło i trwał tak długo, aż dopóki ziele całe nie rozsypało się w popiół biały.

Szedł zatem do sypialni swojej dziewczyny, a powitawszy strapionego króla, przystąpił do białego łóżeczka królowny i zimne całując usta, odkrywając z piersi śnieżystych okrycie, położył na jej sercu listeczek czerwony... Za małą chwilę królowna zaczęła lekko oddychać, aż wreszcie otwartszy oczy, dziwiła się niepomału, co się z nią działo.

Dopieroż to była radość!.. Król stary płakał, jak dziecko, w rozczuleniu szczęścia błogosławiąc dniowi owemu, w którym na jego dwór przyszedł młodzieniec.

A ze dniem, rano, gdy królowna z łóżka zdrowa, jakby nigdy nie, wstała — ubrały ją służebnice w wieniec i sukienkę ślubną, a druchny, wziawszy pod ręce, powiodły do kościoła, gdzie przy ołtarzu czekał jej narzeczony.

I ukląkszy na kobiercu, oboje wieczną sobie poślubili wiarę — a potem żyli razem długo i szczęśliwie, jak daj Boże wszystkim dobrym ludziom.

STRASZNY POTWÓR.

Baśń.

Wieśniaczka się chyli, całunek mu daje,
 Aż z karła brzydkiego, o dziwy!
 Z pod złego zaklęcia wybawiony, staje
 Rycerz-młodzieniec urodziwy.

Ballada skandynawska.

Bogaty jeden kupiec wybierał się za morze, za wieżę pszenicę polską do dalekich krajów, gdzie się ona nie rodzi. Żegnając się na wsiadaniu z dwiema córkami swemi, żeby je pocieszyć we łzach, pytał, jakiegoby gościńca z za morza pragnęły?

— Ach! ojcze drogii! — wykrzyknęła starsza, krasna i pyszna, jak róża w pełni rozkwitła — przywieź mi piękny sznur pereł, żebym nim warkocz sobie pleść mogła.

— Dobrze! będziesz je miała — rzekł ojciec. — A ty, moja lilio białej czego zapragniesz z za morza?

— Ja? mój ojcze! — odpowie młodsza — nie mam nie takiego na myśli, czego bym osobiście pożądała. Ale jeśli koniecznie mam cię o coś prosić, oto słyszałam nieraz od ludzi, że za morzem rosną róże niebieskie, które nigdy nie więdną, przywieź mi, jeśli znajdziesz, taką jedną różyczkę, co ją we włosy pleść będę.

— Dobrze, kochany kwiateczku! jeśli gdzie tylko różę taką znajdę, zerwę ci ją własną ręką.

I ucałowawszy raz jeszcze czola córek, ojciec

wsiadł w łódź wielką na Wiśle, która go wnet z wodą ku morzu poniosła...

Córki długo stały na pagórku piaszczystym, to ocierając chusteczkami łzy z oczów, to powiewając niemi w powietrzu; aż gdy im łódź zupełnie za lasem znikła z widoku, odeszły zapłakane do domu, modląc się do Matki Boskiej o szczęśliwą podróż dla ojca.

Kupiec szczęśliwie przepłynął Wisłę i morze i na dalekim brzegu za drogie pieniądze sprzedał swoją pszenicę. Uradowany zarobkiem, mając się ku odjazdowi, zaczął myśleć o gościńcach przyrzeczonych córkom.

O perły nie było mu trudno (rosną one na dnie morskiem, jak u nas groch na polu, tylko dać nurka i rwać je), za tani grosz kupił sznur, jak bicz długi, a takich wielkich, jak jaja gołębie. Ale o różę niebieską napróżno się wszędzie dopytywał, nigdzie dostać jej nie mógł. Od ludzi dowiedział się, że takie róże rosną tylko na jednej pustej wyspie wśród morza, gdzie jednak, z powodu skał strasznych i mierzliwych pod wodą, żaden okręt nie wpływa, chyba przypadkiem zapędzony.

Przykro mu to było, że prośbie ulubionego dziecka nie mógł zadość uczynić; ale, gdy nie było innej rady, kazał jej zato wysadzić różyczkę z samych turkusików niebieskich, o złotych listkach i gałązkach, żeby ją zamiast prawdziwej we włosy zatknąć mogła.

Niebawem wsiadłszy w łódź odpłynął kupiec

napowrót ku domowi. Już był szczęśliwie połowę prawie drogi upłynął, gdy nagle jednego wieczora zerwała się sroga burza i wichur. Całą noc morze rzucało wiatr łodzią, jak piłką, wznosząc ją w górę, to znów do dna grążąc, a wiatr, potargawszy żagle, pędził ją całkiem gdzieś z drogi, w zupełnie nieznaną drogę. O poranku dopiero uciszyła się burza i uradowani podróżni ujrzeli się w cichym ustroju, przy jakimś obcym brzegu, na którym, wśród czarnego boru jodłowego wznosił się zamek ogromny.

Podczas gdy służba okrętowa wzięła się do naprawiania żagli i masztów, nocną burzą uszkodzonych, kupiec sam, w małym czółenku popłynął do lądu, a uwiązawszy je do nadbrzeżnego drzewa, szedł prosto do zamku.

Dochodząc do niego zdziwił się nie mało, że do mostu wjazdowego nie wiodła żadna droga, ani nawet ścieżka, wpośród bujnie zewsząd zarastającego boru; tem dziwniej jeszcze mu było, gdy minawszy most i wszedłszy do otwartej na oścież bramy warownej, nie znalazł około niej żadnej straży, żadnego żywego człowieka.

W dziedzińcu rozległym, otoczonym ze wszystkich stron okazałymi gmachami, przeraziła go głucha pustka i cisza śmiertelna. Choć to już dobrze było na dzień, z żadnego komina nie było widać dymu, żadnego znikąd słyszeć głosu, ani najłżejszego stuknięcia. Żeby też gdzie chociaż koń zarżał, pies zaszcekał, albo kur zapiał... nie, jakby wszystko wymarło.

Bruk kamienny podwórca pokrywała wybujała trawa i dzikie krzewiny, a wysoko pnące się blusz-

cze i powoje zaplatały ściany budynków, drzwi i okna powiewnemi zasłonami. Co najdziwniejsza, mimo to wszystko nie było widać nigdzie ruiny, ani najmniejszego uszkodzenia, i cały zamek zdawał się stać tak silnie i zdrowo, jakby wczoraj zmurowany.

Kupcowi, wśród tego wspaniałego pustkowi i milczenia, ciarki aż przeszły po ciele; sam nie wiedział co począć, zostać, czy uchodzić? Że jednak nie miał co czynić z sobą przez dzień cały, przemógłszy uczucie zgrozy, postanowił obejrzeć zamek opuszczony.

Widząc drzwi potężne gmachu głównego nieco uchylone, do niego naprzód się zwrócił. Przystąpiwszy przez próg, ujrzał się w niezmiernej, niby kościół jakiej wysokiej i przestwornej sali, oświetlonej długim rzędem wysmukłych okien różnobarwnych. Podłoga jej była z kamienia czerwonego, a ściany z ciosu.

Przy jednej ścianie wystawał komin, szeroki, jak wrota wjazdne, otoczony ciężkimi ławami dębowymi. Wpośrodku wznosił się stół długi, kobiercem bogatym okryty, w końcu którego stał tron złocisty, pod baldachimem czerwonym, a wkoło krzesła rzeźbione misternie, różnowzórą skórą kryte.

Ściany całe, od dołu do góry świeciły się od hełmów, pancerzy i tarcz przezroczystych, między którymi gdzieś wisiły miecze staliste, oszczepy i maczugi, straszliwymi nabijane kośćmi; sklepienie znów jeżyło się od mnóstwa jelenich rogów, dziecych, niedźwiedzi i wilczych łbów, od wielorybich szczęk i starych, w szmaty popadanych choroągwi...

Obejrzawszy to wszystko, kupiec szedł do dalszych komnat, wszędzie w nich napotykając przepych królewski i tysiące drogich a rzadkich rzeczy.

Nieraz korciło go już wziąć to lub owo, tu bezużytecznie leżące; ale ile razy chciał rękę wyciągnąć, coś jakby do ucha mu szeptało, żeby dał pokój. Kilka godzin przepędziwszy na oglądaniu licznych pokoi, wrócił znów do wielkiej sali.

Z niemałym podziwieniem zobaczył, wstępując do niej, w kominie płonący jasny ogień, a stół zastawiony srebrnymi czarami z winem i półmiskami, z których dymiły się przepyszne ryby i raki morskie. Nie wiedząc co to znaczy, obzierał się ciekawie czyli kto nie wnijdzie, gdy wtem wzrok jego padł na wielki napis ponad stołem:

„Używaj miły gościu i nie trwóż się niczem”.

Wygłodzony doskonale, słowy temi ośmielony, pomimo całego zadziwienia, zasiadł więc za stół, korzystając z uprzejmego zaproszenia.

Posilony, podziękował głośnie: „Bóg zapłać!” niewidzialnemu gospodarzowi i wyszedł z sali, przywierając za sobą podwoje, jak je był zastał.

Wyszedłszy na podwórzec, ujrzał po jednej stronie, żelazną kratą oddzielony, słiczny ogród, a w nim... o radości... tuż prawie przy kracie, pyszny krzew róż niebieskich w pełni kwiecia.

Wspomniawszy sobie obietnicę córce uczynioną, pośpieszył do ogrodu, a nie znajdując w nim otwartego wniścia, przelał je snadnie i zaczął z krzewia pilnie zrzucać kwiaty, aż je wszystkie w jeden precudny bukiet zgromadził.

Lecz jakież było jego przerażenie, gdy wtem

poczuł na ramieniu ciężkie uderzenie, a odwróciwszy głowę zobaczył za sobą straszną poczwagę, całą, jak niedźwiedź kosmatą, z krzywymi rogami na łbie i dziezmi kłami w pysku, która, patrząc na niego straszliwie ognistymi oczyma, łapę mu na karku trzymała.

— Ha! niegodziwcze! — zawołało straszdyło — tak mi się za gościnne przyjęcie odpłacasz? wdzierasz mi się i niszczysz co mam najmilszego... Czekaj, nie ujdzie ci to bezkarnie.

Struchlały kupiec zaczął na niewinnienie swe opowiadać obietnicę ukochanej córce uczynioną i pokornie przepraszając błagał przebaczenia. Straszny potwór, wysłuchawszy go, odpowiedział:

— Dobrze! daruję ci szkodę i wypuszczę ztąd żywo, ale przysięgnij na zbawienie duszy swojej, że powróciwszy do domu, przywieziesz mi tu zaraz tę córkę swoją i zostawisz ją samą w zamku przez rok cały. Nie bój się o nią — ja ci znów przysięgam, że jej najmniejsza nie stanie się krzywda, a jeżeli Bóg pozwoli stać się i dla niej i dla mnie może wielkie szczęście... Cóż? przysięgasz mi, lub nie? Jak nie, zaraz cię tu na sztuki rozedrę.

Na takie zagrożenie biedny kupiec, choć niechętnie, przysiągł wypełnić żądanie potwora, a uwolniony nareszcie, śpieszył, co miał tchu, do swej łodzi, klnąc zamek i nieszczęśliwą godzinę, która go tam przywiodła.

W kilka tygodni łódź kupca stanęła przy zielonym brzegu Wisły, pod sosnowym wybielonym dworciem, w którym obie stęsknione córki powrotu ojca wyglądały.

Kiedy na zapytanie córek ojciec oddał im przyrzeczone gościńce, nietyło ucieszyła się starsza perłom drogim, ile młodsza cudnemu bukietowi wonnych, świeżych, niewidzianej barwy róż, które zaraz we włosy sobie wplotła.

— Moje kochane dziecko — rzekł kupiec, widząc jej radość — nie ciesz się niemi tak bardzo! Bogdajbyś ich była nigdy nie zażądała, albo ja nie znał. I opowiedział jej wszystko, co go w pustem zamczysku spotkało, aż do żądania straszego potwora i swojej przysięgi. Spostrzegłszy jednak bladeść naglej swej Jadwisi, dodał:

— Nie obawiaj się przecież, żebym ja cię namawiał do spełnienia mojej nierozważnej przysięgi. Niel wolę sam grzech swój ponieść, niż żebyś ty aniołku dostała się w takie straszne szpony i cały rok swego młodego życia na pustkowiu smutnie zmarnowała.

Ale dziewczyna, która już w sercu swem co czynić postanowiła, rzuciła się ojcu na szyję wołając:

— Nie mów tak! nie mów, drogi ojcze! Cóżbym to za córka była, żebym przysięgi twojej wypełnić nie miała?... Bóg sprawiedliwy, któremu cała się zdaje, nie dopuści niewinnej mej krzywdy, a że sobie rok przesiedzę w pięknym, chociaż pustym zamku, co mi zawiłka pokuta? Nie będę miała tyle prześlicznych rzeczy do oglądania, tyle miejsca do biegania?

Będę sadzić kwiatki, grać na lutni, piosnki śpiewać, a jak mi się to już znudzi, to straszny potwór przez kij mi skakać musil...

Tak śmiejąc się i gwarząc — choć Bóg sam wie, co się w jej duszy działo — dla rozweselenia ojca, sama o rychły wyjazd nalegać zaczęła i wzięta się czynić do niego przybory.

W kilka dni było wszystko gotowe i lotna łódź poniosła znów kupca z córką do opustoszałego zamczyska...

Straszny potwór, jak tylko przybywających do brzegu gości zobaczył, wyszedł przeciw nim aż do samej bramy zamku.

Córka kupca ujrawszy go, tak się niesłychanie wylekła, że drżała, jak liść osiczyny; ażeby jednak ojcu oszczędzić większego zmartwienia, jak mogła zdobywała się na odwagę.

Potwór dziękował kupcowi za dotrzymanie danego słowa, a pannie za łaskawe przybycie, zapewniając najświęciej, że ją nie złego nie spotka.

To mówiąc, wiódł ich do wspaniałej sali, gdzie już gotowa czekała prawdziwie królewska wieczerza.

Podczas gdy kupiec z córką posilali się po odbytej podróży, gospodarz, stojąc zdaleka, prowadził z nimi tak rozumne i ciekawe rozmowy, że słuchając go zapomnieli o strasznej jego postaci.

Tydzień cały gościł kupiec, odpoczywając w zamku; przez cały czas ten straszny potwór zachowywał

się tak grzecznie i łagodnie, że gdy przyszło do odjazdu, niebogi ojciec, jeśli nie bez ściśnienia serca, przynajmniej bez obawy wielkiej rozstawał się z ukochaną córką, po którą za rok miał wrócić.

Dziewczyna, jak w obecności ojca panowała ile mogła nad sobą, tak po jego odjeździe, siedząc w oknie na morze otwartem, rozplakała się rzewnie.

Straszny potwór zbliżył się wtedy do niej pokornie i rzekł:

-- Nie płacz tak, śliczna panienko, i nie bądź zła na mnie, że z mej przyczyny rok w tej pustyni przebędziesz; nie moja to wina, ale zrządzenie Bóże!... Rok nie wieczność, prędko minie! Tymczasem cały ten zamek i ja na twoje rozkazy. Oto masz ten złoty dzwoneczek — jak skoro czego zaądasz, zadzwoni nim i powiedz głośno, a stanie się, co każesz. Tu zaś masz srebrną piszczałkę, w którą zagwiżdżesz, jak zechcesz, żebym ja sam przyszedł do ciebie. Bez woli twej, nie będę cię nigdy przestraszał moim widokiem.

— Bogu chwała! — pomyślało sobie za odchodzącym dziewczę, które bez zgrozy patrzeć nań nie mogło — nie prędko ty tę piszczałkę posłyszysz.

Wyplakawszy się do woli po ojcu, Jadwisia zaczęła rozweselać się, jako mogła, w samotności swej. Wyszywała wzorzyste chusteczki, grała na lutni, przyspiewując sobie piosnki śliczne mazowieckie, zrywała kwiaty w ogrodzie i plotła z nich cudne wieńce, biegając sobie po boru, rozmawiała z świegotliwemi ptaszkami... Mimo to wszystko za

kilkanaście dni tęskno jej się zrobiło za ludzką rozmową.

Straszny potwór nie był prawda nic a nic do ludzi podobny, ale mówił, jak człowiek istny. Znudzone dziewczę, w pół chętne, w pół niechętne, odważyło się nareszcie zagwizdać na niego w srebrną piszczałkę; wybrało jednak umyślnie do tego godzinę zmierzchu, kiedy nie widząc go, bez zgrozy słuchać mogła.

Potwór umiał tak doskonale zająć ją powieściami i rozmową, że odtąd każdego wieczora wołała go do siebie — a mało po mału odważyła się wreszcie mówić z nim po dniu, odwracając tylko głowę od niego. W miesiąc mogła już patrzeć nań bez trwogi i nawet za stół przy sobie sadzała.

Przyszła smutna, słotna zima, trzeba było siedzieć zamkniętą w murach przez dnie i tygodnie całe — cóż sama począć sobie miała? Jak tylko więc rano ubrała się, wołała do siebie straszego potwora Jadwisia, bawiąc z nim aż do nocy, kiedy spać iść miała. Kazała mu opowiadać powieści, których umiał bez liku, swarzyła się z nim i godziła, grała z nim w gry rozmaite; ale chociaż jej nie raz przyszła myśl pusta kazać mu przez kij skakać, nie śmiała tego wymówić, nie żeby się go bała, ale że mu nie chciała przykrości tem sprawić.

Minęła nareszcie zima i nadeszła ciepła wiosna — ale dziewczyna tak już nawykła dnie całe z potworem trawić, że gniewała się, jeśli którego poranku sam nie przychodził i wołać go musiała... Jakbądź jednakże w towarzystwie jego miło i prędko czas jej zbiegał, nie mniej pilnie znaczyła nad swem

łódeczką każdy upłyniony dzień, licząc ile ich jeszcze do końca roku zbywa.

Rok, nie wieczność—prędko miał się ku końcowi. Im bardziej kres ten się zbliżał, tem smutniejszym z każdą chwilą stawał się straszny potwór — ale Jadwisia, w radości swojej, ani tego nie widziała.

Już tylko trzech dni do końca roku niedostało, kiedy wstawszy raniutko i do ogrodu za kwiatkami na głowę wybiegłszy, znalazła tam strasznego potwora, smutnie siedzącego pod krzewem niebieskiej róży i zalanego po kudłatym pysku bujnemi, jak rosa, łzami.

— Cóż ci to, mój straszny potworze! — zawołała litością zdjęta — co ci się stało, że płaczesz tak rzewnie?... Powiedz, może ci ja co pomogę?

On podniósł łeb ku niej, milcząc, popatrzył jej smutno w oczy, wreszcie odpowiedział, wzdychając:

— Bo mnie niedługo na zawsze porzucisz, a ja cię kocham, Jadwisiu!

Płocha dziewczucha wybuchła na to tak hucznym śmiechem, że o mało na ziemię nie padła, potwór, słysząc to, jęknął boleśnie i uciekł, skryć się gdzieś w gęstej zarośli.

Próżno go potem wołała i gwizdała w srebrną piszczałkę, nie przyszedł ani tego, ani następnych dni wcale. Dopiero kiedy łódź kupca pojawiła się u brzegu, straszny potwór wyszedł ze swego ukrycia na powitanie i przyjęcie gościa.

W dzień sam Jadwisinego odjazdu, straszny

potwór, zastawszy ją samą w pokoju, tak do niej przemówił:

— Moja ty śliczna Jadwisiu, jedziesz już daleko, za morze, że cię biedny ja nigdy nie zobaczę, przebac mi, proszę, zuchwalstwo moje, że m potwór taki śmiał pokochać ciebie, a wspomnij o mnie czasami. Jeżeli kiedy wspomniawszy, zechcesz wiedzieć, co się tu ze mną dzieje, masz tu oto jabłko korallowe: jak będzie bladło, poznasz, że m chory, jak całkiem pobieleje, że umieram z tęsknoty za tobą. A gdybyś kiedyś odwiedzić mnie chciała, włóż ten żelazny pierścionek na palec i wnet znajdziesz się na tym brzegu. Tymczasem bywaj mi zdrowa, a chociaż po twoim odejździe zostanę nieszczęśliwszy, niż dotąd byłem, dzięki ci przecież i za ten rok czasu, który mi swoją miłością umiliłaś!..

Dziewczyna, chociaż śmiała się z miłości potwora, że łzami wszelako przyjęła jego dary, i żegnając go serdecznie, odwiedzić jeszcze przyrzekła.

Po całym długim roku samotnego wygnania, Jadwisia, powróciwszy do domu, nie posiadała się od radości. Każde znajome drzewo w polu musiała odwiedzić i powitać, jak brata—z każdą skrzeczącą na płocie sroką, z każdą przelatującą ponad dziedzińcem wroną zaczynała zaraz gawędę; co dopiero z pokoikiem swoim, z ptaszkiem, z kotkiem, pieskiem!... a z siostrą! a z przyjaciółkami!... zdało się jej, że się nigdy dosyć nie nawita i nie nacieszy. Warto było pokutować rok, żeby mieć potem tydzień takiego wesela!

Ale kiedy przyszły pierwsze chwile radośnego uniesienia i wszystko znowu powszedniem się jej stało, sama się sobie wydziwić nie mogła, że w domu ojca nie czuła się tak szczęśliwą, jak w pustym, zamorskim zamku, że z nikim czas jej tak błogo, mile i prędko nie mijał, jak z tamtą straszną poczwarą. A kiedy sobie wspomniała na powolność jego dla siebie, na dobroć i łagodność — na jego powieści, to wesołe, to znów=rzewne, a zawsze tak dziwnie piękne — na łzy jego i miłość bez nadziei, westchnęła nieraz serdecznie nad biednym potworem z nudy i miłości samotnie tam więdnącym i często gęsto zaglądała do koralowego jabłuszka, zobaczyć jak się też miewa.

Jabłuszko co dzień stawało się bledsze i Jadwisi coraz ciężej było na sercu.

Nareszcie jednego ranka, kiedy do niego otworzyła, znalazła je całkiem białe.

— Umiera, dla mnie umiera! — krzyknęła żałośnie — o ja nieszczęśliwa!

A w tem wzrok jej padł na żelazny pierścionek, na sznurku pysznych bursztynów u szyi wiszący. Zerwała z całej siły sznurek, że aż paciorki posypały się dokoła, a pierścień na palec włożyła.

W tej chwili zaćmiło się jej w oczach i w myśli — wpadła niby w mdłości, niby w sen, w którym czuła, że ją coś przez powietrze niesie... Sama nie wiedziała, jak długo to trwało, gdy się zbudziła nagle na zielonej murawie, tuż pod murami znanego sobie zamczyska. Zerwawszy się, biegła do środka, wołając z całych piersi strasznego potwora; lecz nikt

się jej nie odzywał, tylko echa pustki podawały sobie w koło jej wyrazy.

Obiegłszy próżne wszystkie komnaty zamkowe, śpieszyła szukać do ogrodu. I oto tutaj, pod tą samą różą niebieską, gdzie jej miłość swoją wyznał, leżał biedny potwór, schudzony i wynędzniały, z zamkniętymi oczami, bez tchu, zimny wszystek. Jadwisia, łamiąc ręce, rzuciła się do niego z przeraźliwym krzykiem:

— Zbudź się! zbudź! mój straszny potworze! ja tutaj jestem przy tobie!... Zbudź się, a będę cię kochać, będę twoją całe życie!... — wołała i w żalu do kudłatego pyska przytuliwszy białe lica, złożyła na nim gorące pocałowanie.

I wtem — o dziwy! — potwór ożyły zerwał się z ziemi — lecz już to nie był potwór straszny, tylko piękny, choć troszkę znędzniały młodzieniec. Jadwisia, nagłą przemianą przerażona, aż odskoczyła od niego; ale on schwycił jej rękę i klękając przed nią, mówił:

— Nie bój się, śliczna Jadwisiu! Oto ja jestem ten sam straszny potwór — teraz miłością twoją z zaklęcia strasznego wybawiony król. Kiedyś mnie mogła kochać w tamtej brzydkiej skórze, kochajże teraz jakim w rzeczy jestem.

I objawszy ją w pół ręką, przycisnął do ust jej usta, w upojeniu rozkosznem całując bez końca. Jadwisia nieboga — zносиła to cierpliwie, z samej szczerzej litości:

— Biedny król — myślała sobie — nie całował już tak dawno, że grzechby mu bronić się było!

A tymczasem w całym zamku roiło się od życia i gwaru. Kury piały po kurnikach, psy wyły radośnie w budach, konie po stajniach rżały—zbudzeni z niewidzialnego zaklęcia dworzanie krzątali się na wszystkie strony.

— Patrz, ileś dobrego uczyniła poświęceniem swoim — rzekł król, wyprowadziwszy dziewczynę z ogrodu—ale to jeszcze nie wszystko.

Z temi słowy wywiódł ją za bramę wjeżdżną, gdzie przed godziną jeszcze las dziki porastał: teraz na miejscu jego wznosiło się miasto wspaniałe, po którego ulicach weselące się przeciągały tłumy.

Ża niedługo cała ludność miasta z chorągwiemi, wieńcami, bębnami, trąbami przyszyła na zamkowy podwórzec dziękować Jadwisi za wybawienie swoje, i rzuciła się jej pokotem do nóg, pieśni na cześć jej śpiewając. Jadwisi od niebiańskiej radości łyła całą twarz zalały i padłszy na kolana, dziękowała gorąco Bogu, że jej łaską swą tyle ludzi dozwoili wybawić z pod władzy złej mocy.

Nazajutrz złocisty okręt królewski odpłynął śpiesznie za morze, po kupca i starszą jego córkę z zaprosinami na wesele. A kiedy szczęśliwie przybyli, co to było za wesele! Cztery tygodnie trwały gonitwy i łowy, na ziemi i na morzu, na koniach i na łodziach dziwnych, do smoków podobnych. A co to były za ucztę w dzień, w dzień!... wam sytym mówić nie warto, a mnie głodnemu byłby próżny żal.

Młody król i królowa żyli potem z sobą szczęśliwie i długo — a jeżeli nie pomarli, to pewnie jeszcze żyją.

Z N A J D E K.

B a ś ń.

Śmierć i żona

Od Boga sądzona.

Przysłowie narodowe.

W czerwonym zamku nad niebieską rzeką mieszkał stary jeden książę, ojciec syna jedyne. Kiedy syn dorósł młodzieńca, siwy rodzic w rycerski gotował go zawód, a gdy widział do boju że mu wystąpić bez wstydu już można, ogłosił wielką wyprawę, wzywając, komu w tem wola, na warowny zamek swój. I wnet też zbiegło się zewsząd wojowników co nie miara — każdy konno, każdy zbrojno — i szerokim się obozem rozłożyli; ale się im leżeć długo, i niecierpliwie pytają, w którą stronę ciągnąć na bój?

Kazał tedy stary książę wynieść rozwitą chorągiew przed zgromadzone rycerze — mężowie głośnym powitali ją okrzykiem, i ciekawemi patrząc oczyma, aż naraz powiał wiatr chłodny, rozwinął czerwone fałdy i, jak czerwonym płomieniem, powiał ku podlaskiej stronie: „Na pogany! na pogany!“ — wrzasł wraz obóz cały, i rozbiegli się w rychle gotować na krwawą drogę: ostrzą miecze, konie poją, w żelazne się zbroje stroją.

Zanim w drogę wyruszyli, ucztę żołnierską sprawili: dziesięciu wołów zabili, dziesięć beczek wytoczyli i usiedli pod wrotami wino, miód piją konwiami.

Nad brzegiem rzeki po piaszczystej drodze szedł sobie dudarz wędrowny, siwy, jak gołąb, staruszek; zobaczył podła zamku biesiadę wojską i poszedł tam ze swoją dudą, zasiadł, zagrał im, zaśpiewał, na bój krwawy ich zagrzewał; rycerze go uciśskali, winem, miodem uraczali: potem wziął im z ręki wróżyć, jak los będzie w boju służyć. I wróżył jednym szczęście, nieszczęście drugim—jednym chwale i plon wielki, drugim śmierć, rany i ciężką niewolę, jak sam wiedział, tak im mówił; i odchodzili od niego ci z nadzieją i pociechą, owi ze smutkiem i żalem.

Aż wreszcie przyszedli do wróżka dwaj najstarsi hetmanowie i kazali prorokować, jako się im powieść miało. Pierwszemu powiedział starzec, że śmierć go w tej wojnie spotka, śmierć haniebna nie na polu, jedno na suchej gałęzi, i nie będzie miał pogrzebu, ale kruki ze wronami podzielią się jego ciałem, kośćciami wilki drapieżne; drugiemu zaś zwiastował, że wyjdzie szczęśliwy z bitwy i wróci do domu z niesłychanym łupem.

Gdy odeszli hetmanowie, przyszedł młody syn książęcy; stary spojrział mu na dłonie:

— Młody książę! idź w pokój—

Zdrów i sławny wrócisz z boju.

Uradowany książę dał dziadowi sztukę złota, ale nie odszedł od niego i pytał o drugą wróżbę: czy rychło dostanie żony — i kto taki mu sądzony.

— Za rok od powrotu z wojny ożenisz się, młody książę, i dostaniesz żonę młodą, urodziwą i cnotliwą; ale nie będzie to córka ani króla, ani

księcia, ani też żadnego pana, jeno będzie to sierota znaleziona na śmieciisku.

Roześmiał się głośno książę i zawołał do wróżbiarza:

— Czyś ty głowę stracił, stary! zkadże tobie wróżba taka? Czyżem ja nie syn książęcy, czym nie młody i nie dzielny, bym miał taką pojąć żonę? Bylebym tylko zażądał, czy księżniczka, czy królowna, wnet każda by moją była — a ty miasto nich dajesz mi jakiegoś znajdkę ze śmieci! Powróż no raz jeszcze, dziadku, widno nie dobrześ dopatrzeć!

— Wiem ci ja, Panie, żeś ty syn książęcy, dzielny, młody, urodziwy, że ci królowna za żonę przystała, i każdaby za cię chciała; przecież tak ci przeznaczono, że mieć będziesz za żonę sierotę bez rodu, na śmieciisku porzuconą. Moja wróżba nie zawodzi.

Książę roześmiał się nanowo, bo nie wierzył słowom jego i wszedł na swego cisaka. Wojsko w szyki się sprawiło — zatętniło, wyruszyło.

Wieleż znaki rozwinione, błyszczą szyszaki stalone; ostre szabelki brząkają, rżą rumaki, trąby grają..

* * *

Przeminął miesiąc jeden, drugi i trzeci przeminął — pół roku czasu ubiegło, jak młody książę wyciągnął na pogany z ojców zamku, a dotąd ani ich widać, ani słyszać o wojskach. Jak kamień w wodę, przepadli w lasach Polesia bez śladu. Stara ma-

tka co dnia prosi na kolanach o wieść dobrą, prosi o powrót swego jedynaka; stary ojciec stawiał czaty na wysokiej zamkowej baszcie, dniem i nocą im przykazał patrzeć czy syn nie powraca — i niewierząc oczom czaty sam co dnia długie godziny stoi i czuwa, czy wracających nie dojrzy. Aż oto jednego razu widać nad zachodem słońca tuman wznosi się na drodze — coraz bliżej, coraz bliżej, rośnie ciągnąc się przez błonie, — widać już z po za kurzawy wojsko ciągnące z wyprawy! wieją znaki rozwinięte, błyszczą szyszaki stalone; ostre szabelki brząkają, — rżą koniki, rogi grają: — rycerze w zamek wjeżdżają.

Niezmierna radość była tedy w zamku — młody książę wrócił z plonem, z tysiącem jeńców zabranych; w boju sam własną ręką zabił wodza nieprzyjaciół, w jednej wyprawie starej nabył sławy, a sam ni razu w walce nie szwankował, ni koń jego dostał rany, ni zszcherbiła mu się szabla. Stało się jak mu wróżył na wyjeździe dudarz stary. Ale nie tylko temu jednemu, wszystkim się starca sprawdziły proctwa: jeden hetman wrócił z wojny, niesłychany łup wiodąc do domu, — drugi, raniony, wpadł poganom w ręce, a jako znali ile za skórę im zalał, mszcząc się, powiesili go na łykowym sznurze u krzywej gałęzi sosny; kruki i wrony oskubały ciało, kości głodne wilki zjadły.

Widząc wówczas młody książę tak spełnione wszystkie przepowiednie, wspomniawszy sobie ona wróżbę, że ma mieć żonę podrutka bez rodu; a jako srodze był dumny swem księstwem, począł się bardzo frasować przyszłym losem.

Była zaś na dworze owym, młoda dziewczyna imieniem Marya, którą gdy była dziecięciem, znaleziono na śmieciisku pod zamkiem; wzięła do siebie sierotę dobrotliwa księżna matka i jako córkę chowała. Gdy dorosło owo dziewczę, tak cudną miało urodę, tak była dobra, skromna, a rozumna, że się oboje księstwo, jakby do rodzonej córki, przywiązało do wychowawcy, pieścili jak oko w głowie i nieba radziły jej przychylili.

Młody książę też ją kochał, jak gdyby własną swą siostrę; ale teraz jedną razą przyszło mu na myśl, że pewno ową sądzoną mu żoną będzie sierota Marya, — i razem na biedną dziewczynę zajął się tajemnym gniewem. Co spojrzał na nią, to za każdym razem srodzej coraz nienawidził, coraz to go bardziej bodła myśl, że ona ma być mu żoną; w złości zaklął się nareście, że na przekór wszystkim wróżkom i woli choćby niebieskiej, nie z tego nigdy nie będzie małżeństwa.

Odtąd począł tylko myśleć, jakimby skrytym sposobem zbyć się nienawistnej sieroty; póty myślał, aż wymyślił.

Rozkazał tedy tajemnie wystawić na rzece czółn kryty, bez steru, masztu, i wiosła, a gdy stanął już gotowy, zanieść nań chleba i wina, i wszystkiego co tylko do życia potrzeba.

Jednego zatem poranka wziął za rękę biedną Maryą i niby też to przechadzka, wyprowadził ją nad rzekę, pomiędzy gęste zarośla: tutaj stanął, klasnął w ręce — na znak wybiegli słudzy książęcia z zasadzki, porwali złąkłą dziewczynę i nieśli do owej

łodzi, a zamknąwszy ją w pośrodku, drzwi zabijali gwoździami.

Ona niewiedząc co się wszystko znaczy, zaczęła wołać ze łzami:

— Bracie kochany! ratuj mnie!... Co ci ludzie ze mną robią.

— Pańskim syn ja, a nie brat twój, najdku przeklęty ze śmieci! Dość ci się świecić po książęcym dworze — idź w świat gdzie cię wiatr poniesie!

Nieszczęśliwa sierota zalała się łzami i poczęła łamać ręce; woda tymczasem rącho ją niosła — niosła dalej, coraz dalej, gdzieś tam w nieznajome strony.

* * *

Był jeden dzień, i była noc, i był drugi dzień — na drugą noc zaczął wiatr wiać wielki, rzeka się rozkołysała, i rzucała łodzią drewnianą to na tę, to na tę stronę, a dziewczyna struchlała modliła się już na śmierć.

Wicher czółn pędził wprost na brzeg, i wpędził je pod koło pływającego młyniska, kędy bezpiecznie, jak w porcie, zostało aż do poranku. O szarym ranku parobek młynarski chce puścić kamień do młnienia: — darmo, koło ani ruszy; wychodzi patrzeć coby za przyczyna, aż patrzy: stoi pod młynem ogromna zbita skrzynia. W skok pobiegł dać znać młynarzowi, i przyszli obaj z siekierami w rękę, i jeli się odbijać zamknięte wieko. Niezmiernie się za-

dziwili, gdy znaleźli, odbiwszy, młodzieńca, strojną dziewczynę, i żegnając się wielkim krzyżem, nie wiedząc zkądby się wzięła, pytać poczęli kto była?

Sierota uradowana, że natrafiła nareszcie na ludzi, rzuciła się ze łzami do nóg starego młynarza i szczerze wyznała wszystko; młynarz pocziwy ulitował się biednej jej doli, i wzięwszy do domu oddał pod opiekę żony.

Im dłużej z niemi bawiła, tym bardziej oni lubowali w niej sobie, a że nie mieli nic dzieci, przybrali biedną Maryą za córkę; i znowu sierocie wróciły dnię błogie, bo choć to nie dwór książęcy, ale dom był dostatni i ludzki.

Nie było się też bać czego, by ją książę miał tu znaleźć, bo młyn stał w środku lasu, zdaleka od dróg i ludzi: tak więc spokojna, wesoła, pędziła czas swój, biegając po lasach zielonych, łowiąc wędką rybki złote, szyjąc wzorzyste zasłony, bawiąc z gośćmi przyjezdnymi.

Dnia jednego o południu — pogoda była prześliczna, woda cicha jak zwierciadło gładką szybą uciekała, — młoda sierota siadła w lekką krypę, z czerwonej sobie chusteczki rozpięła żagle nad głową, i u brzegu się powoząc, zrywała lilie białe na wianek.

Jedną razą koło młyna słyszy hałas, szturkot kopyt, — spojrzy: z zielonego lasu jedzie myśliwców drużyna prosto do białego młyna; przodem, na dziańskim cisaku jedzie młodzian urodziwy.

Dziewczę, jak go zobaczyło, na pół od strachu skostniało; poznała młodego księcia, zawziętego na jej zgubę; zmiarkowała, że jeżeli znowu w ręce je-

go wpadnie, Bóg wie jaki los ją czeka, — więc co prędzej lekkim wiosłem odepchnęła się od brzegu, dążąc co siły tylko starczyło na drugą stronę rzeki szerokiej.

Książę, skoro ją zobaczył z daleka, poznał natychmiast sierotę, a jako szczęśliwy wielce był, że się jej pozbył i nigdy widzieć się niespodziewał, zapalił się srogą złością i pniąc zeskoczył z konia, wpadł do młyna, i łajac młynarza, pytał z kąd ma tę dziewczynę?

Młynarz na to odpowiedział, jak ją woda przypędziła pode koła jego młyna, ale nie mówił nic księciu, że wie o jego złej sprawie, którą wyrządził dzieweczce.

Książę rozkazał czempredziej kilku dworskim wpław przez wodę, i gonić na wszystkie strony uciekającą Maryą. Ale ona skoro tylko dobrała się na brzeg drugi, zamiast uciekać bitymi ścieżkami, spodziewając się pogoni, w bok czempredziej uskoczyła; w najgłuchszej gęstwi olszyny, na bagnisku pełnem trzciny ukryła się, prosząc Boga, by ją od zawziętego nieprzyjaciela zachował.

Dworscy wpław rzekę przebyli, na brzeg rażno się zawzięli — jeden lewą, drugi prawą, każdy inną ścieżką ruszył w czwał; długo gonili, konie pogrza-
li, — długo po lesie szukali, o ostre głogi, o gęstą le-
szczynę podarli suknie zielone i wszystko na próżno
z niczem powrócili.

Biedna sierota tymczasem, we strachu, aż do nocy w bagnisku mokrem przeczekała; o ciemnym zmroku wybiegła z trzciny i poszła najmniejszą ścież-

ką, ostreми krzemieniami białe nogi krwawiąc, gorz-
kim płaczem oczy łzawiąc.

* * *

I biegła tak tydzień cały ową ścieżką kamie-
nistą, lasami nieprzebytymi, stronami nieznajomemi,
niespotykając żadnej żywej duszy, pijąc jasną wodę
kryniczną, karmiąc się czarną borówką, malinami
czerwonemi, kamionkami ziarnistemi, aż wyszła wre-
ście na otwarte pole, na drogę zacienioną wonnemi
lipami. Po nade drogą, na wzgórku, z po za muru
wysokiego wyglądał ogród rozkoszny, — wiśnie, gru-
sze, jabłka złote; — z za drzew czterema wieżami
przezierał zamek bogaty, stolica księcia tych krajów.
Na zamkowym, na krużganku siedzi dwanaście pa-
nien przecudownych, w białych sukniach, różanych
wiankach; w rękę mają złote igły, na srebrne nici
dzieją perły drogie i granaty i brylanty, po drogich
szyją niemi złotogłowach; — wszystko to siostry rodzo-
ne, wszystko to córki książęce.

Słaba cała, podrapana, wygłodniała i spragnio-
na przywlekła się do nich Marya, pokłoniła się po-
kornie i liściowicie prosiła, by się nad nią zmiłowały
i do służby swojej wzięły.

Księżniczki użaliły się nad biedną sierotą, na-
karmiły — napoiły, balsamem rany zwilżyły, w nowe
sukienki ubrały, aż kiedy przyszła do siebie z nędzy,
zapytały coby umiała?

Ona prosiła, by jej pozwoliły haftować z sobą
złociste kobierce; zadziwiły się księżniczki, z kądby
taka umiejętność w ubożuchnej służebnej, ale dały

jej na próbę krosna: ona na nich tak cudowne wzory zatem wydzierzgała, że wszystkie córki książęce pierwszeństwo jej przyznawały i ciekawie się badały, z kąd by była i los jaki przywiódł ją do takiej nędzy.

Marya tedy, na ich wolą, wiernie im opowiadała cokolwiek jej się zdarzyło; kiedy słów jej wysłuchiwały, szczerze nad nią się rozplakały wszystkie siostr dwanaście, ciesząc ją przyjazną mową i lepszymi nadziejami. A im dłużej wśród nich była, tym bardziej polubiły ją wszystkie i tak nareszcie pokochały, że za trzynastą siostrę wzięły ją pomiędzy siebie.—I znów oto powróciły dla Maryi jasne jej czasy — biesiady pańskie, radość, uciechy; a jednak nieboga co dnia wspominała dobrą księżnę, co matką od dziecka jej była i urodziwego jej syna, — którego wprzód pokochała, sama niewiedząca o tem, nim złości jego doznała na sobie, i dotąd mimo krzywd ciężkich zapomnieć wcale nie mogła.

A godzina za godziną, i dzień za dniem ubiegały...

Jednego dnia, ku wieczorowi, wszystkie trzynaście dziewcząt siedziało na krużganku zamkowym; wiły wianki z róż, z bławatków, wesołe piosnki śpiewały.

Razem na drodze sadzonej słyhać gwar, turkot, tętnienie: spojrzą, aż tu ku zamkowi wali się orszak, widno w zaloty. Idą złożone kolasy, konie drogiemi kryte makatami, sługi świeżo postrojone; na przodzie dorodnego orszaku młodzieży dwaj siw; swatowie jadą, — pomiędzy nimi, na cisawym koniu, rzeźwy i hoży zalotnik.

Marya, skoro nań okiem rzuciła, krzykła z cicha: poznała wroga swojego, i poczęła prosić dziewczęce, aby ją przed nim ukryły.

Księżniczki jej przekładają, by się daremno nie bała, że u ojca ich, nikt nie ma mocy jej zaszkodzić.

— O moje kochane siostry! jeżeli on mnie tu zobaczy, on tak zawziął się mnie zgubić, że choć mnie zasłonicie od przemocy jawnej, on dokaże swego zdradą.

Skryły ją tedy w ustronnych komnatach, a między sobą poprzysięgły zgodnie żadna nie być żoną księcia, co tak strasznie wygnał z domu i prześladował zacięcie ukochaną ich siostrę.

Starzy książęta swatów w dom przyjęli, zalotów sąsiadowi swemu niebronili, byleby jeno ta, którą wybierze, zgodziła mu się ślubować. Wszystkie dwanaście sióstr, jedna w drugą, tak były wabne i hoże, że nie było w czem wybierać; młody książę głowę stracił, do której się ma obrócić: — wręście jął się ku najstarszej o kruczym włosie, o kruczem oku, z twarzą białą jako lilija. Mile do niej się uśmiechał, z pod oka zalotnie patrzył, gładkiemi pochlebiał słowy; ona, jakby to nie do niej, niby niewidzi, niby niesłyszy. Nad wieczorem niecierpliwy książę prosił dziewczęcia o rękę; — czarnobrewa odmówiła. Próżno przechwalał się przed nią z męstwa, sławy i dostatków, — jakby groch na ścianę rzucał, marnie poszła jego mowa.

Młody Pan nigdy w życiu tego się niespodział, — złością cały poczerwieniał, ode wstydu drżał jak febra; ale nakoniec pomyślał: „nie jedna, to druga! nie

ty, będzie twoja siostra.”—Będzie?—a kto wie, może i nie będzie!...

Na drugi dzień począł się zalecać młodszej siostrze, jasnowłosej, z niebieskiem jak bławatek okiem, o rumianej jak krew twarzy. Sypie jej pochwał tyśiące, za rączkę kryjomo ściska, oczyma zawraca, wdycha; ona, niby nierozumie, patrzy mu bystro w oczy, śmieje się głośno i żartami ciska. Było tego przez dzień cały; wieczorem księżę poprosił o rękę, złote obiecywał góry, cudne stroje, śliczne muzyki, całe życie uciech pełne. Próżno wszystkol... jasnowłosa ze śmiechem podziękowała za jego życziwe chęci, wymawiała się, że nigdy rodziców porzucić niechce, ale radziła szczęścia szukać u kogo innego.

Księżę ze śmiertelnego gniewu ledwie się posadał,—wszakże usłuchał jej rady i został w zamku na trzeci dzień.

Jak zeszedł pierwszy i drugi, tak zeszedł dzień trzeci, czwarty i piąty... Dwanaście dni całe młody zalotnik siedział w zamku, z kolei każdą siostrę prosząc w dozogonną przyjaźń; z kolei wszystkie mu odmawiały.

Dnia dwunastego nareście, nie żegnając się, w okropnej furii wybiegł ze zamku: wskoczył na cisaka swego, wbił mu w bok całe ostrogi, aż krew z bieguna bryznęła, i nie patrząc na nikogo, klnąc, pędził drogą, którą przybył; za nim swaty sfrasowane i drużyna zdziwiona.

* * *

Pół drogi nienuechali, kiedy wśród czarnego lasu księżę nagle wstrzymał konia i wszyscy za nim z siodeł zesiedli.

W pośrodku lasu, około drogi, był tam kościół w pół zwalony, a przy nim mieszkał ubogi pustelnik; przy tym kościele, teraz, za rozkazem pana, orszak rozłożył się taborem.

Dziwno wszystkim bardzo było, co młody czyścić tu myśli; alie wnet się dowiedzieli.

Księżę obiecał rodzicom powrócić do domu z synową, przed równienniki swoimi przechwalał się z przyszłej żony, z księżniczki urodzivej sąsiedniego państwa; — teraz miałyby z niczem wrócić? na pośmiech i urąganie!... Zaklął się na czarta z piekła, że nie próżno w drogę jeździł, dwanaście dni w zamku strawił.

— Po woli, czy po niewoli — krzyknął — musi być jedna mą żona!

Posłał tedy zbrojne sługi, surowo im nakazując, żeby się nie ważyli powracać bez wykradzionej której z cór księżęcych; a sam, wśród lasu, w taborze, czekał zdarzonej oblubienicy.

Sługi poszły: ciemnym zmrokiem w krzakach konie zataili, sami po sznurach przeszli mur zamkowy i zaczęli się w ogrodzie.

Właśnie wonczas Marya nieboga, szczęśliwa że nareście wydostać się mogła z ukrycia, chodziła przechadzką, bezpieczna o siebie.

Zadumana szła nad stawem, patrząc na gwiazdy złociste, odbite w wodzie milczącej, aż niewiedząc zbliżyła się do gęstwiny, gdzie się księżęce sługi skryły.

Razem z za krzaków wyskoczyło ich trzech i nim krzyknąć zdążyła twarz chustkami jej zakryli, — pochwycili ją na ręce, rączyli za mur się przedarli, — wskoczyli na lotne konie i do lasu pogonili. O północy przylecieli do księżęcego taboru.

W starym kościele już wszystko było gotowe do ślubu: pustelnik w stule stał przy ołtarzu, — obok drewnianego krzyża migotały się słabo dwie tlejące lampy; — przed kościołem zaprzężona kolasa czekała na państwa młodych.

Na tentent sług wracających, młody książę skoczył na dwór, porwał z ich ręki dziewczę i do kościoła prowadził; i miłośnemi zaklinając prośby, to znowu groźbami strasząc, drżącą zawlókł do ołtarza.

Marya po głosie natychmiast poznała swego oblubieńca; — więc strwożona, pomięszana, sama nie wiedząc co się z nią dzieje, powtarzała za księdzem słowa przysięgi.

Ksiądz związał im ręce siałą, zmienił pierścionki, pobłogosławił; książę rzucił mu trzos pełny, i objawszy kibić żony, kojąc jej trwożę, wiódł ją do powozu. Sam wsiadł na rączego konia i razem z zbrojną drużyną wiódł ją ku domowi ojców.

* * *

Stary książę, stara matka, skoro nazajutrz z porankiem zobaczyli powracającego syna, wybiegli z solą i chlebem powitać w progu synową. Zagrzmiały kotły i bębny, zagrała huczna kapela.

Młody pan skoczył z konia, otworzył żwawo kolasę, podał rękę młodej żonie, przed rodziców oczyma wysadził: — i stanął cały jak wryty, poznając sierotę Maryą, którą mu wrózek stary przepowiedział, a którą myślał na wieki że już stracił. Ona tymczasem ze łzami rzuciła się do nóg starym, teraz powtórny rodzicom swoim.

Ci, miawszy ją już dawno za straconą, gorzko nieraz opłakawszy, teraz odzyskaną znów z radością witali, dziękując Bogu i synowi swemu, że ją przywiódł im synową.

Pan młody nie mógł sam z sobą pomiarkować się, co robić.

Widział szczęście rodziców starych, weselących się z zaślubin jego, — widział, że próżno wszelkimi sposoby chciał iść na przekór swemu przeznaczeniu, i że cudownem zdarzeniem stało się przecież, co miało stać: a więc zrzucił z serca pychę, uściskał swą piękną żonkę, za wszystko złe, co kiedy zrządził jej przeprosił; ona chętnie darowała i zapomniwała wszystkiego, szczęśliwa losem, który dziś jej Bóg dał.

Szli zatem wszyscy uradowani na wysoki dwór książęcy, obchodzić gody weselne. Poślaniec z wieścią o ślubie biegł do sąsiedniego państwa, zaprosił książęcą rodzinę na ucztę, gonitwy, łowy: dwanaście sióstr urodziwych, z ojcem starym, przyjechało, winszując paize młodej i drogie przynosząc dary. — Dzieśięć niedziel tam gościli, dziesięć niedziel weselili, — wreście do dom powrócili.

Młoda para, w długie lata, żyła szczęśliwie, w czci u świata.

DWAJ TOWARZYSZE.

Baśń.

Jak poczniesz,
Tak spoczniesz.
Przysłowie.

Od Krakowa do Warszawy wędrowało społem dwu młodych czeladzi, stolarzy, po drodze zarabiając sobie, gdzie się zdarzyło...

Jeden z nich, Wawrzyn na imię, doskonale umiał swoją sztukę; ale co drugi, Franek, to ot! Boże zmiłuj się!

Nie dziw, że jak gdzie zaszli do miasta lub dworu, Wawrzynowi dostawała się robota do pańskich komnat lub kościołów, kiedy Franek musiał żydom po karczmach naprawiać stoły i ławy. To też kiedy mieszek pierwszego co raz bardziej pęczniał, we drugiego kaletce grosz z groszem ledwie się spotkał.

Biedy jednakże w podróży niedoznał, bo uprzejmy towarzysz dbał o niego, jak o rodzzonego brata.

Mimo to, niewdzięczny partacz wrzał przeciw niemu zazdrością i gniewem; bo mu się zdawało, że wszystko, co Wawrzyn zarabia, to jakby jemu samemu z rąk wydarł. Przemyślał tedy tylko jako by się na nim zemścić i z drogi sobie usunąć. Zabić, nie mógł się odważyć, ale umyślił sobie go oślepić. —

Jednego tedy dnia, wśród wędrowki, wyspał w obiad ufnego towarzysza ziele usypiające, które na to już gdzieś u Węgra olejkarza kupił.

Po obiedzie, niedaleko jeszcze uszli, kiedy Wawrzyn zaczął się skarżyć na niewyciężoną śpiączkę.

— Ha! zwyczajnie oto niedospałeś widać w nocy twojej miarki! — odrzekł chytry Franek. — Mnie też jakoś do północy w karczmie się zabałamuciło, że chętnie dospałbym teraz. Ot, położmy się gdzie w krzaki; dyć nam nie pilnego w drodze.

Nie bardzo daleko od gościńca widać było niewielki pagórek, bajraczkami sosnowemi porosły, na którego szczycie stała szubienica. Nie było to miłe miejsce do spoczynku, ale Wawrzyn, ledwie już oczy powłócząc, dał się tam zaprowadzić, — a ległszy pod krzakiem choiny, zasnął jak nieżywy.

Niegodziwy Franek, wypróbawszy, wpierwej, czy śpiący zbudzić się nie da, wyklął mu wtedy obie żrenice w oczach, że całkiem wyciekły; a zabrawszy oślepiionemu ładowny trzosik, poszedł dalej w swoją drogę.

Niebogi Wawrzyn spał tymczasem tak długo, że gdy się nareście zbudził, było już dawno po zachodzie słońca. Niewidząc nic w koło siebie, myślał z razu, że to taka ćma; ale przecierając oczy poczuł w żrenicach ból dolegliwy i wylękniony zawołał:

— Franku, mój bracie! coś ze mną źle. Oczy mnie bołą i nic nie widzę, — bodaj czy nieoślepiłem. Mów no, czy i tobie tak ciemno?

Nie słysząc odpowiedzi, począł wołać głośniejsze i rękoma szukać w koło, — ale towarzysza nie było.

Chcąc się raz wreszcie przekonać, co się z nim dzieje, sięgnął ręką po krzesiwo i zaczął krzesać ogień: posypały się z krzemienia iskry rześiste, — czuł jak mu parząc padały na ręce, — ale w oczach zostało ciemno jak w grobiel...

Jęknął srodze biedny chłopiec, uznając kalectwo swoje, — a gdy w kieszeniach napróżno trzосу swojego szukał, domyślił się na ostatek kto mu taki los zgotował.

Nie klął jednak, nie pomstował, tylko padłszy twarzą na ziemię prosił Boga z wszystkiej duszy o opiekę nad sobą, ślepym kaleką i żebrakiem...

Pomodliwszy się, chciał wołać o pomoc, myśląc, że kto gościncem idący posłysz; ale po zimnej rosie noc czując, bał się zwabić do siebie jakich niegodziwców, coby go jeszcze z szat zwlekli. Skuliwszy się tedy od zimna, jak jeź, pod krzakiem, milcząc, oczekiwał dnia.

Jedną razą dało się słyszeć nad nim krakanie kruka i szum skrzydeł, — a za niezadłużuchną chwilkę dwa znów kruki nadleciały. — Nie były to prawe ptaki, tylko trzej źli czarodzieje, którzy się na radę zlecieli. Ku swej okropnej trwodze posłyszał Wawrzyn, jak się ze sobą w imię czarta witali i zaczęli się przechwalać, co który złego zrobił lub umyślił.

— Ja — mówił pierwszy — podmówiłem jednego młodego chłopca, że starego ojca oślepiwszy, wywioził do miasta na żebrzy... Używa teraz synalek, ani się domyślając, jak niedługo bies mu karku naręci; — a stary ślepiec, wyciągając rękę, szepce pa-

cierze pod kościołem, zamiast co by mu przyjsć pod tę szubienicę, przemyć sobie oczy w tem źródleku i odzyskać wzrok wydarty! Ale ci głupi ludziska to nie wiedzą nie a nie.

— Oj! to masz prawdę mój bratku — przemówił drugi — ci ludzie, to prawe osły. — Ja oto, że mnie raz w Radomiu chłopaki psami poszczuli, zamówiłem za to źródło, co im wody dostarczało, że całkiem pod ziemię się skryło. Mieszczanie kopią a kopią, płacą a płacą, blisko miesiąc już cały, — ale to wszystko próżno. A żeby się domyślili i rzucili do studni białego koguta, to jakby lecąc ze strachu zapał, zarazby woda wytrysnęła!

— Albo ja — odezwał się trzeci — na córkę pańską w Grochowicach, co za mnie nie chciała wyjść, nastąpiłem żabę ropuchę, co ją do śmierci zniweczy, bo ją codzień w nocy ssie. Panna więdnije z każdym dniem, ojciec rwie włosy z żalu i zwozi lekarzy ze świata całego, obiecując złote góry za wyleczenie, — ale nie z tego nie będzie. Przecież osły te, żeby oderwały podłogę pod jej łóżkiem i złapali żabę, uwarzyli z niej rosół i chorej wypić dali, wstała by za jeden dzień zdrowiutka!

Jeszcze coś ze sobą pogwarzyli, czego Wawrzyn nie dosłyszał, a wreszcie ozwał się któryś:

— Czas nam już wracać do dom, ranek nie za długi. Do widzenia w przyszły nów!

— Do widzenia!... do widzenia!... — odpowiedzieli dwaj drudzy.

I znowu stawszy się krukami, z wrzaskiem i szumem rozlecieli się w swoje strony.

Wawrzyn, przeczekawszy dobrze, ażby przekłęci

daleko odlecieli, począł czołgać się dookoła pagórka, szukając cudownego źródła, o którym od nich posłyszał.

Jakoż natrafił na nie, — a skoro przemył oczą wodą, ku radości niewymownej, odzyskał wzrok utraczony. Padł więc w obliczu wschodzącego w tej chwili słońca na kolana, serdeczną modlitwą błogosławiąc Boga, który tak rychło nad niedolą się jego uliwał.

Ale przypomniawszy sobie co przekłęci powiadali o nieszczęśliwym mieście bez wody i chorej pannie w Grochowiecach, pomyślał, że go Opatrzność umyślnie tu sprowadziła, żeby złych sprawy popsował. Schwycił się tedy co do ducha w drogę; a że było bliżej do Radomia, tam naprzód zmierzał.

W Radomiu zastał płacz i zmartwienie powszechne, bo ludzie z braku wody poczęli już mrzeć jak muchy i trza się było bać powietrza. Co tylko mogło wiaść łopatę do ręki, kopało dzień i noc studnię, ale wody ani śladu nie było. — Kiedy Wawrzyn u burmistrza oświadczył się, że źródło miastu powróci, stała się radość niezmierna między ludźmi strapieniami. Cóż dopiero gdy obietnicy szczęśliwie dokonali... wszyscy jak zbawicielowi dziękowali mu i na ręku go nosili, prosząc, żeby sam powiedział jakiej tylko zażąda nagrody. — Pocziwy chłopak, nie zapracowawszy, nie brać nie chciał, lecz próżny był wszystek jego upór, mieszczanie łzami swojemi zmusili go wreszcie wiaść tysiąc talarów, które dla tego co wodę przywróci w ratuszu przeznaczone leżały.

Pożegnawszy się z wdzięcznymi Radomianami i dla pośpiechu kupiwszy konia, jechał Wawrzyn śpiesznie do Grochowiec ratować więdnącą dziewczynę.

Zastał ojca śmiertelnie strapionego, że już wszyscy lekarze, niewiedząc co począć, opuścili jego córkę, a samą chorą tak już zbiedzoną, że istny trup niby w łóżku leżała.

Co duchu zwołany cieśla oderwał podłogę pod łóżem — i patrzele siedziała tam szkaradna ropucha, jak kafel z pieca ogromna. Wawrzyn zabił ją i rozgotował doskonale na rosół, który chorej w usta przez lejek wlało. Wypiwszy go, usnęła twardo i spała przez dobę całą, aż stary ojciec bać się już zaczął. Lecz na drugi dzień przed południem, panna zbudziła się ze snu, wesół, rumiana i zdrowa, jakby nigdy nie słabowała.

Pan, ojciec uratowanej jedynaczki, o mało do nóg nieupadł biednemu stolarczykowi i niewiedziął, jak go opłacić; Wawrzyn przecież pomny, że Bóg mu już dał zyskać tyle, zaklął się, że grosza nie weźmie.

Stare pocziwe panisko nie mogło znów tego przenieść, żeby tak wielkiego dobroczyńcę bez nagrody pozostawić (bo wtedy był inny świat, niż dzisiaj); niewiedząc tedy innego sposobu, ofiarował mu swoją ukochaną córkę za żonę.

To już była za wielka pokusa na Wawrzyna, — bo dziewczyna była istny obrazek i wraziła mu się w serce tak głęboko, że we śnie i na jawie zdało się jakoby mu w oczach stała. Kiedy wdzięczna

wyzdrowiona rada przystała wziąć pięknego chłopca, ułożono tedy czas ślubu.

Tymczasem młody narzeczony jechał do Warszawy przyodziać się chędogo i dla swej przyszłej nakupić co było trzeba.

Kiedy przybywszy do Warszawy zaszedł z drogi do gospody, pierwszy co mu wpadł pod oczy był niegodziwy Franek, który z kilką hulakami trwoniał tu na pijatyce porwane oślepienemu koledze pieniądze.

Wawrzyn siadł sobie na stronie, pijąc cicho swoją szklankę miodu. Franek, chociaż już nieco podpity, poznał jednak swego towarzysza; niedowierzając przecież swoim oczom, wstał i począł go obchodzić, przyglądając się mu zyzem.

— Cóż mi się tak przyglądasz? — poszepnął mu na ucho Wawrzyn, wstając z za stołu. — Ja to jestem, ów towarzysz twój, któremuś, niegodziwcze, wydał niewinnie wzrok i zrabował grosz zapracowany.

— A nu, tak! — odpowiedział Franek, bezczelnie w boki się ujawsz. — Wyklutem ci te śliczne, piwne ślepki... ale widzę, jak we wszystkim, tak i w tem bies ci dopomógł. Jeżeli chcesz, pozywaj mnie! zjesz dyabła kto ci uwierzy!

— O zatwardziały człowieku! niemyśle ja cię pozywać, tylko chciałbym dla twej duszy żebyś żałował tego coś mi zrobił. — Mnie, jako widzisz, żadna krzywda ztąd nieprzyszła, — i sama to Opatrzność dozwoliła ci pewnie dopełnić na mnie tej zbrodni, dla mego i drugih dobra.

Tu Wawrzyn opowiedział mu wszystko wiernie,

jak się stało: podsłuchaną złych czarodziejów narażę, swoje cudowne wyleczenie ze ślepoty, co potem dobrego sprawił i jako został nagrodzon.

Brzydki Franek dziw, że słysząc to nierozpękt się ze złości. Gdyby mógł zabić Wawrzyna i wleść w jego skórę, byłby to pewnie zrobił. Niemogąc mu przecież zaszkodzić i widząc go teraz panem, obyczajem podłych ludzi, upokorzył się przed nim, żałując wrzekomo swej niegodziwości, a ciesząc się z dobrego końca, ku któremu Bóg ją obrócił. — W duchu tymczasem pomyślał sobie iść w noc na nowiu pod szubienicę oną i wysłuchawszy co czarodzieje uradzą, obrócić to na swój użytek.

— Tylko nie będę taki głupi, jak ty — myślał — żeby coś tóż wziąć, co zapłaca! O nie! będę drzeć co się da z kogo.

Z tem postanowieniem pożegnawszy Wawrzyna, że nów już był nie daleko, szedł zaraz nająć podwoję, którą zajechał aż do znanej karczmy, gdzie towarzyszowi zadał usypiającego ziela.

Przeczekawszy w niej dzień cały, w samą noc nowiu wyszedł skrycie, równo z mrokiem, i przed północą stanął pod szubienicą.

Ukryty w najgęstszym krzaku choinowym, oczekiwał niecierpliwie przybycia trzech kruków, kłapiąc zębami od chłodu i od obawy, bo coś jakby mu szeptało, że mu ta chciwość na złe wyjdzie. Możeby dłużej nie wytrzymał i wszelkich zysków zrzekłszy się, uciekł; alić w tem zaszumiło w górze, i kruk czarny, z przeraźliwym krzykiem, padł pod szubienicą. — Za małą chwilkę zjawił się drugi

i trzeci, — a wtedy z kruków stanęli trzej żywi ludzie.

Franek nadstawił chciwie ucha, żeby ni słowa z ich tajemnic nie stracić; lecz na jego utrapienie, powitawszy się swoim obyczajem, cicho tylko coś szeptać poczęli. Nakoniec odezwał się jeden.

— Tak, niezawodnie podsłuchiwał nas ktoś, i pomięszał nasze sprawy. Trzeba dobrze przejrzeć wszędzie, czy gdzie i dziś się niezaczaił!

Jakoż wnet rzucili się szukać i znaleźli drżącego Franka.

— Ha! tuś to, ciekawy ptaszku? Czekaj, będziesz miał za swoje! — wykrzyknęli radośnie trzej przeklętnicy.

Próżno się im pachoczyćsko zaklinało, że raz pierwszy tu jest dopiero, próżno przyrzekał wskazać im Wawrzyna, żeby się na nim zemścili.

— Żywo go rozszarpać w sztukil! — krzyknął któryś... i oto z trzech ludzi znów się stały kruki, — które rzuciwszy się na Franka, dziobami i pazurami na miejscu go rozerwały.

Tak skończył podstępny urwisz brzydkie życie swoje!

Pocziwiy Wawrzyn nie zadługo potem ożenił się z pańską córką i w łasce bożej żył z nią szczęśliwie i długo.

S T R Z Y G A.

Baśń.

Działo się za króla Goździka...
Przysłowie.

Szedł sobie biedny sierota w świat, środkiem cienistego lasu, po bladym brzasku porannym... Dochodząc wąską ścieżką wielkiego gościńca, posłyszał w krzakach szamotanie i głos jęklivy, litości proszący. Skradłszy się chyłkiem bliżej miejsca ząd głoś wychodził, ujrzał sędziwego starca przywiązanego do sośni, któremu straszny drab silił się oczy wylupić. Staruszek zwiędłymi rękoma jak mógł zasłaniał żrenice; ale silny hultaj schwycił mu nareście obie ręce, i związawszy je powrozem do drzewa na pewne już godził w twarz bezbronną nożem, — gdy w tem sierota z swego ukrycia wyskoczył, szybko porwał miecz draba na ziemi leżący i łeb mu na wpół rozplatał.

Z przekleństwem upadł na ziemię złoczyńca i ducha z krwią czarną wyzionął.

Gdy chłopiec powrozy staruszka rozerzwał, ten mu serdecznie dziękował:

— Bóg ci stokrotnie zapłacił moje dziecko, żeś mi trochę światła boskiego ocalił; ten bezbożnik chciał mnie oślepić, żeś go trafiwszy w zasadzce, na podróży dybiącego, do pokuty za grzechy przywodził. Ale Bóg z tym, kto jest z Bogiem, i oto zesłał mi ciebie w sam czas. Jakże ci rzekają, moje dziecię i gdzie idziesz tak wczas?

— Marcin mi rzekają, ojczel... a idę, ot tak w świat sobie, gdzie mnie Pan Bóg zaprowadzi. Nie mam matki, ani ojca, jak psem mną ludzie poniewierali—może gdzie Bóg da znaleźć lepiej.

— No, mój Marcinie—rzekł starzec—toć pójdziemy z sobą razem, aż ci Bóg da gdzie znaleźć przytulenie. Może ci gdzie się odwiedzczę za twoją dzisiejszą usługę. Wprawdzie sam jestem tylko dziad ubogi, litości ludzkiej proszący, ale widziało się wiele, wiele na świecie się żyło, dobra rada, mój chłopaku, nieraz lepsza złota.

To mówiąc, dał Marciniowi nieść torby swoje, i poszli razem gościńcem, śpiewając głośno o opiece boskiej, tak serdecznie, że wszystkie ptaszki na drzewach wtórzyc im zaczęły.

Niezdługo wyszli z lasu na bujne pola pszeniczne i ujrzeli nieopodal, na wzgórzu, miasto czerwone, nad którym wieża kościelna, od promieni słońca wschodzącego, jasną blachą, jak złota korona świeciła.

Za godzinę przyszedli pod same mury, przeszli most nad przekopem i wieżą warowną, i stanęli na ulicy, uglądając gdzie gospody. Niedaleko też ujrzeli zieloną wiechę sosnową nad wrotami, uprzejmie z wiatrem im się kłaniającą, i weszli obaj do izby. Pozdrowili Pana Boga—kazali sobie zwarzyć piwa (bo ranek majowy był kaducznie chłodny), a tymczasem siadłszy za stołem przekasali chleb z serem z dzia-dowskiego worka.

Za niedługą chwilę dało się słyszeć na ulicy bicie bębna i granie trąby, zmieszane z tętętem koni i gwarem biegnącego tłumu. Wszyscy co byli w kar-

czmie rzucili się do otwartego okna, i nasz Marcin też za nimi, patrząc ciekawie przez głowy.

Ulicą, wśród natłoku chłopców i gawiedzi, jechali naprzód dobosz i trębacz, a za nimi woźny królewski. Stanawszy na rogu ulicy, bęben i trąba umilkły, a woźny, wznosząc głos zawołał:

— Najmiłościwszy król Goździk, nasz ojciec i pan, wszystkie swe miłe dzieci i poddane uprzejmem sercem pozdrawia, a to przez usta moje ogłasza: że ktoby się znalazł taki, coby zakłątą królową w kościele farnym wybawił, w królewskiej jego wdzięczności odbierze wszelkie zaszczyty i nagrody choćby pół królestwa żądał. To Jego Miłość królewskiem swem słowem i przysięgą, przed Bogiem i ludźmi zapewnia. Ktoby więc chciał się podjąć tej przysługi, o każdej chwili znajdzie posłuchanie łaskawe u Jego Królewskiej Mości.

Bęben i trąba ozwały się znów, i cały orszak powoli odciągnął w boczną ulicę.

W karczmie, między przytomnymi, wszczął się gwar, rozprawy i spory: znajdzie się li kto tak zuchwały, żeby się kusid o królewską nagrodę, lub nie? Po długiej wrzawie zgodzili się wreszcie wszyscy na jedno—że nikt nie będzie tak głupi leżeć sam w paszczę strasznej strzydze.

Dziadek z Marcinem przysłuchiwali się tym wszystkim rozmowom, niby kazaniu niemieckiemu; dopiero kiedy sam karczmarz postawił im na stół piwo, chłopiec zaczął go się prosić, żeby im zechciał powiedzieć, co to za zakłąta królowa, której się wszyscy tak boją? Karczmarzowi, zwyczajnie gadu-

le, była to woda na koło; poprawił czapeczkę na bok i siadając na ławie zaczął rozpowiadać:

— Ho! moi ludzie! widać, żeście z dalekiej jakiejś Ukrainy, kiedy nie wiecie; tu u nas kraj cały dziwu tego pełny. Ale nikt pewnie nie mógłby wam tak dokumentnie opowiedzieć, jak ja.

„Otóż, trzeba wam wiedzieć, że nasz król (daj mu Bóg zdrowie i pociechę), królewiczem jeszcze będąc, pokochał się serdeczną miłością w rodzeniutkiej swojej siostrze. Dopóki ojciec, nieboszczyk król, żył, chował w największej skrytości swą miłość; ale, jak skoro po śmierci ojca król młody objął koronę, wyszło szydło z worka na jaw. Biskupi, zwyczajnie królowi, dali się łatwo przemówić i posłubili grzeszny związek. Oj! bo że grzeszny przekonał się potem król biedny i świat wszystkich.

W dziesięć miesięcy po królewskim ślubie za powiedziano miastu całemu blizkie rozwiązanie młodej królowej. Na wszystkich bramach i wieżach siedzieli trębacze i cymbaliści, zwiastować huczną muzyką przyjście na świat królewskiego dziecięcia, po rynkach stały na słupach beczki z winem, czekając na odetkanie — w zamkowym ogrodzie wznosiły się stosy smolne, do zapalenia na znak radosny gotowe. Aliści zamiast radości spodziewanej, nastąpił smutek i lament.

Na dziw i trwogę przytomnych przy sobie, królowa wydała na świat córkę — czarną, jak węgiel, z szeroką od ucha do ucha paszczą, w której ogromne ostre kły sterczały, z pazurami u rąk i nóg, jak niedźwiedzie szpony. Król łamał ręce i łkał — królowa zapadła w młodości, z których już się, na swo-

je szczęście, nie zbudziła — lekarze zbiegłszy się do koła dziecka zaczęli się kłócić po łacinie... Wtem, na domiar powszechnego dziwu, straszdyło urodzone ozwało się w te słowa:

— Królu, mój ojczy, słuchaj mnie! za grzeszny twój z siostrą związek, otom ja w żywocie matki przekłeta. Za chwilę umrę. Dajże mi zrobić trumnę, wielką, jak dla starego człowieka i pochowaj w grobie królewskim pod kościołem. A jakom z winy twojej potępiona, tak mi tu przysiąż na Boga i zbawienie swoje, że od dnia mego pogrzebu co noc w kościele będzie żywy człowiek. To jedyna nadzieja dla mnie nieszczęśliwej, że z zaklęcia zbawiona być mogę.

Strapiony i struchlały król przysiągł, i w tejże chwili straszne owo dziecko skołało. Podług jej woli pochowano nieszczęsną królowę w wielkiej trumnie pod farnym kościołem, w sklepach, gdzie leży rodzina królewska — obok matki — która w połogu zmarła.

W nocy po pogrzebie król, wierny swej przysiędze, postawić kazał w kościele na straży żołnierza. Kiedy nazajutrz rano cheiano go zmienić, nie znaleziono go wcale; wszyscy to jednak tłómaczyli sobie snadnie, że zdjęty trwogą uciekł z kościoła i z miasta. Na drugą noc stawiono drugiego, ale i z tym było, jak z pierwszym. Za pierwszym i drugim poszło sto i więcej żołnierzy, którzy znikali bez śladu, a nikt nie mógł dojść co się z nimi dzieje.

Nakoniec raz, przy sporządzaniu kościoła, w ciemnym kącie za wielkim ołtarzem, znaleziono gromadę kości ludzkich z ciałą ogryzionych i poła-

maną broń żołnierzy, i po mieście gruchnęła wieść że straszna strzyga królownej co noc człowieka pożera. Odtąd król, nie śmiejąc więcej swoich wojsków narażać na śmierć, kazał na noc zamykać zbrodniarzy w kościele, a i ci noc w noc znikali, jak tamci. Było u nas pod one czasy łotrów nie mało, ale pomału tak się wytępilli, że ledwie raz w rok który się dał znaleźć, i król, za drogie pieniądze, musiał z dalekich krajów zakupywać żer ludzki dla swojej strzygi.

Czternasty rok już tak mija. Poczciwy król zubożył się i zadłużył, nie jeden śmiały ochotnik także życie swe położył, zaklętej zbawić nikt nie zdołał. I otóż teraz tak co dnia król wzywa i obiecuje nagrody, ale któż się waży na śmierć pewną?... Co to będzie, co to będzie, jak tak dłużej potrwa jeszcze?...

Wtem odwołał ktoś karczmarza na stronę, a na si też podróżni już wszystko wiedzieli.

Dziadek, chyląc się do ucha chłopcu, rzekł:

— A co? mój synu! otóż ci wrota do szczęścia otworem. Masz-li odwagę i wiarę w me słowa, a serce wdzięczne, możesz wybawić królownę i zyskać nagrodę, jaką zechcesz?

Sierota pomyślał sobie, że dziaduś z niego żartuje; ale jak mu na twarz spojrział, taka w niej była powaga, dobroć i świętość, że zaklął się swojej niewiary, jak grzechu. Jako zaś był z przyrody odważnego i chętnego serca, tak gotów się był podjąć zbawienia królownej, byle go dziaduś, jak dokażać tego nauczył.

— O tem potem, mój Marcinie — odpowiedział

starzec — teraz idź tylko, oświadczyć chęć swoją królowi...

I Marcin, pełen dziecięcej ufności, poszedł prościutko na zamek, opowiadając się wrotnemu, że chce wybawić królownę.

Król właśnie wtedy siadał do śniadania, ale posłyszawszy to orędzie kazał czempredziej wołać chłopca przed siebie. Kiedy Marcin, wszedłszy wprowadzony, opowiedział sam zamiar, król, ludzki w strapieniu swoim, widząc jego wielką młodość i niedoświadczenie, sam go od przedsięwzięcia zaczął odwozдить, przedstawiając, jak na to wielkiej potrzeba mocy serca i mądrości, żeby je szczęśliwie sprawić. Ale sierota odpowiedział szczerze, że choć sam młody i głupi, ma opiekuna, któremu się powierzył, a który mu radą mądrą pomoże; serca zaś dość czuje w sobie, żeby się ważyć na wszystko.

Król, bacząc jego pewność i ufność, przystał na żądanie Marcina i w jakiejś niewytłómaczonej otusze zaczął się oddawać nadziei. Posadził chłopca z sobą po za stołem, nakładał mu na talerze i nalewał sam wina w kieliszek, zatrzymał u siebie na obiad i dopiero ku wieczorowi na miasto do dziadka odpuścił.

Dziadek wracającego do karczmy Marcina uścił, jak dziecko rodzone, dziękując za ufność w sobie; nauczył co ma czynić w noc w kościele, a umocniwszy go jeszcze na duchu mądrymi słowy, z nadziejsiem mroku sam zawiódł aż do wrót kościoła.

Z błogosławieństwem staruszka przestąpił sierota próg i posłyszał zawierające się za sobą ciężkie

żelazne wrzeciądze, które go od całego żywego oddzieliły świata.

Przez wysokie, wąskie okna, pyłem i pajęczyną zaćmione, słabo przedzierał się blask pełnego miesiąca w głąb ogromnej świątyni. Potężne słupy, od wieku zielone, wydawały się, jak dwa rzędy olbrzymich duchów, sięgających do sklepienia; na nagrobkach i ołtarzach posągi nieruchomie stojące w pomroku zdały się żywymi postaciami, gdzie indziej z pośrodku czarnych marmurów odbijała wyraźniej biała alabastrowa trupia głowa, wyszczerzająca ku patrzącemu zęby, albo złocista ozdoba, na którą promień miesięczny padał, błyszczała, jak oko ogniste. Tuż koło kraty wielkiego ołtarza potężna złocista korona, na kamieniu wyciosana, wskazywała grób królewskiej rodziny...

Marcinowi, patrzącemu na to wszystko, mróz zimny przeszedł po ciele i serce żywiej bić zaczęło. Chcąc trwogę zapóźną ukoić, klęknął sobie przed ołtarzem i zaczął mówić godzinki; to go znów uspokoiło. Wszelako, kiedy przeszła już 11-ta godzina, każde uderzenie zegaru, nowy kwadrans odbijające, wstrząsało nim wśród modlitwy. Wreszcie na wieży zabrzmiało trzy kwadransy na 12-tą—straszna chwila tuż się zbliżała—i sierota, westchnąwszy raz ostatni serdecznie do Boga, szedł pełnić radę staruszką.

W kościele tym, między okrągłym w tym miejscu murem a wielkim ołtarzem, był wielki kąt pusty i ciemny; tu to strzyga musiała wlec na pożarcie swe ofiary, a kości w stos ogromny zrzuciła. Marcin, podług porady dziadka, wszedł tam, i jako chłopcy zakopują się nieraz pod kopice siana, wczół-

gnął się pod ten okropny stóg ludzkich piszczeli, cza-szek i żeber.

Zaledwie że tego dokonał, zegar na kościele zaczął bić dwunastą. Z ostatnim dźwiękiem dzwonu rozległ się po kościele huk głośny — (to kamień z królewskiego sklepu odwalił się sam na stronę). Marcin, pilnie nadstawiając ucha, posłyszał szybkie bieganie wokoło — potem straszny głos zawołał:

— Człecz! gdzie jesteś? ozwij się!

Chłopiec leżał, jak trusia, myśląc sobie w duszy, czy był też kto przed nim taki głupi, żeby się strzydze odezwać?... Tymczasem straszycło coraz to głośniejsze, to okropniej wołało i wyło, słychać było jak czemieś rozrzuciło, jak przewracało i przesuwało ławki... nareszcie, nie mogąc znaleźć żywej pastwy, przybiegło za ołtarz i siadłszy na wierzchu kości, zaczęło wczorajsze szczątki do reszty z ciała ogryzać. W tem zaleciał je widać zapach żywej duszy, bo z wściekłym śmiechem wykrzykło:

— Ha, tuś mi to jest, ty mądry ptaszku!... Czekał, teraz mi nie ujdiesz!...

Wystawił że sobie, co się Marcinowi w duszy działo!... Strzyga poczęła obiema rękoma rozrzucić z kupy kości, przerzucając je ponad ołtarzem na kościół. Była to wprawdzie praca nie lada, ale piekielniczy szła tak prędko, jakby sto rąk miała. Wreszcie biedny sierota czuł, że już jest niedaleko niego.

— Minutka jeszcze — i Boże zmiłuj się duszy mojej—pomyślał sobie skruszony.

Alić, zaledwie w duchu domówił tych słów, na

wieży uderzyła druga godzina; strzyga zgrzytnęła okropnie i biegła z wrzaskiem do otwartego grobu. Kamień z łoskotem sam się za nią zawalił—i wszystko zcichło, jakby makiem zasiał.

Marcin wyszedł tedy ze swego ukrycia, a odechnawszy głęboko, jakby się na świat nanowo narodził, klęknął naprzód przed ołtarzem, dziękując w serdecznej modlitwie Bogu za ocalenie swoje. Potem znużony, odszedł na kościół i przyległszy na jednej ławce, zasnął.

Ze świtem, o piątej godzinie, zakrystyan przyszedł otwierać kościół, a z nim król sam, dworzanie i wielka ciżba ludu—bo już się po mieście rozniosło o odwadze Marcina. Wszedłszy do kościoła, pojrżeli wszyscy ciekawie, a nie widząc nikogo, wykrzykli jednomyślnie:

— Zginał, jak i drudzy!

A król smutnie kiwnął głową. Kiedy się jednak lepiej rozpatrzyli, zdziwili się, widząc poprzewracane i porozsuwane ławki, połamane lichtarze, podarte chorągwie, pogryzione świece, kościół wspaniałe zasiany mnóstwem trupich kości—czego przedtem nigdy nie bywało.

Wtem, zbudzony łoskotem tylu ludzi, Marcin się podniósł na ławie. Skoro go ujrżeli, wykrzykli wszyscy radośnie, a król ścisnął, jak własnego syna, i wiódł go z sobą do zamku, ciekawy przy śniadaniu wysłuchać jego powieści.

Marcin radby był co najprędzej biedz do karczmy, do swego staruszka, ale król zatrzymał go gwałtem na obiad.

Tymczasem dziady i baby z całego miasta zbierały w kościele porozrzucane kości i składały je na swe miejsce za ołtarz.

Po obiedzie, puszczony przecież od króla, sierota pędził, jak strzała, do swego opiekuna i rzucałszy się mu do nóg, za radę dziękował. Starzec zachęcał go do wytrwania w ufności i mężstwie, przez które królowi i zakłętej królownie wróci spokojność, a sobie szczęście zgotuje; i nauczwszy go znowu, co ma czynić, wiódł go o zmroku pod same wrota kościelne, błogosławiąc na rozstaniu.

Tą razą chłopiec nie tyle się już uląkł, zostawszy sam w kościele pustym—zwyczajnie, człowiek ze wszystkim się ochrośnię!

Spokojnie na modlitwie spędził czas ku północy, a kiedy godzina straszna się zbliżała, szedł, podług rady starcowej, na chór, zamknawszy za sobą drzwiczki i święconą kredą je opisawszy. Przytulony za organem czekał, co się dalej stanie.

Dwunasta wybiła znowu—wieko od grobów znów się z hukiem odważyło—i strzyga wyleciała na kościół. I znowu Marcin słyszał jej wycia i wrzaski, okropniejsze jeszcze niż wczora—walenie ławek, rzucanie kośćmi i lichtarzami... wreszcie na chwilę ucichło.

Chłopiec ciekawy, co się stało, wychylił głowę z za organu i ujrzał okropną, czarną poczwarę, z rozwianym, ognistym włosiem, krwawymi oczyma i strasznymi kłami, w pośród kościoła nieruchomie stojącą. Wylęknięty tak okropnem widziadłem, rzu-

cił się nazad za organ; ale w tej chwili postrzegła go strzyga.

— Ha! przekleśniku, tamesz to?... Czekaj! zaraz ja cię dostanę! — wrzasła i biegła do drzwiczek od chóru. Ale słabe, drewniane drzwiczki, opisane święconą kredą, stały, jak mur, nieruchome przeciw mocy złej.

Straszydło poleciało wtedy do otwartego grobu i wnet wróciło, wlokąc za sobą z łoskotem trumnę. Postawiła ją pod chórem i znów pobiegła po drugą. Drugą stawiała na pierwszej i znów po trzecią bieżała. Tak nastawiała wreszcie trumien dziesięć, jak schody, aż do samego prawie chóru i już drapała się po nich z jedenastą.

Marcin widział, że jak tę jeszcze postawi, do stanie się do jego schronienia — kiedy więc strzyga z nią pnie się, on, zebrawszy do serca wszystką swą odwagę, wyrwał z organu wielką drewnianą fujarę i pchnął nią z całej siły najwyżej stojącą trumnę. Całe rusztowanie rozsypało się z strasznym hałasem, przywalając sobą upiorzycę...

Ale przekłętogo nie zabić! — w tej chwili podniosła się z pod stosu trumien, i kłapiąc wściekle zębami, straszne zionąwszy przekleństwo, znowu się wzięła do pracy. Nim wszakże dziewięć trumien postawić zdążyła, wybiła druga godzina.

Rycząc straszydło odleciało do otwartego lochu, a wszystkie trumien jedenaście same za nią sunęły się. Kamień padł znów na swe miejsce, a Marcin, z śmiertelnej oswobodzony trwogi, podziękowawszy znowu Bogu, usnął.

Kiedy o świcie król i wszyscy ciekawi weszli

do kościoła, widząc nowe spustoszenie, wołać poczęli Marcina, gdzie jest. Zbudził się chłopiec, a zeszedłszy z chóru, wśród powszechnej radości udał się z królem na zamek, gdzie znów aż do poobiedzia zostać musiał, opowiadając wszystko, co się w nocy działo.

Za powrotem do karczmy staruszek go upewnił, że byle jeszcze jeden raz wytrwał i wykonał wierne jego radę, wybawi zaklętą królowną. Pouczywszy, jako ma czynić, odwiódł go znowu na wieczór przed kościół i błogosławieństwem pożegnał wstępującego we wrota.

Za czasem wróble na strachu siadają. Tak też i nasz Marcin, dzisiaj prawie całkiem bez trwogi wszedł do kościoła — chociaż to miał być wóz — przewóz, albo wybawi królowną, albo zginie straszną śmiercią!

Kiedy dwunasta bić miała, przyczaił się za chrzcielnicą, tuż koło królewskiego grobu.

Północ wybiła: kamień się odwalił, strasziwa strzyga wyleciała na kościół, wpadła za wielki ołtarz i zaczęła szukać w kościach. Marcin tymczasem cichutko zstąpił do otwartego grobu, macając, znalazł otwartą trumnę, położył się w niej i naznaczywszy wieko święconą kredą w znak krzyża, przykrył się niem cały, małą dziurkę dla tchu nożem wywierciwszy. Leżąc, modlił się gorąco wśród okropnego wrzasku, wycia i łoskotu, głucho z kościoła dochodzących.

Nakoniec zadzwonił zegar drugą godzinę i strzyga, cała w ogniu, wyjąc, wpadła do grobu. Nie znajdując otwartej swej trumny, stanęła osłupiona

i potem, pobiegłszy do lewej ściany lochu, zaczęła liczyć trumny w rzędzie stojące.

— Raz—dwa—trzy—cztery—pięć—sześć! to moja...

I chciała podnosić wieko. Nie mogąc odkryć, biegła do drugiej ściany i znowu liczyć poczęła:

— Raz — dwa — trzy — cztery — pięć — sześć! to moja! — a w tem poczuwszy żywą duszę, wrzasła: — Wstawaj ztąd, żywy człowiecze, bo cię na sztuki rozedrę.

Ale sierota, zatknawszy sobie uszy rękoma, leżał, jak trup istny, prosząc na głos Boga o łaskę dla siebie i przeklętej. Napróżno strzyga wyła, groziła i kłęta, miotała ogniem i szamotała trumną; napróżno potem zaczęła okrutnie jęczyć i prosić o litość, obiecując pokazać mu za to wielkie skarby. Wśród tych jej próśb i obietnic, przez okienko dało się słyszeć w grobie pianie kura na plebanii. Jeszcze jeden jęk rozległ się przeraźliwie, a za nim postyszał Marcin, jak coś się osunęło i padło przy trumnie.

Na to też on tylko i czekał. Odrzuciwszy z siebie wieko, wstał i podniósł z ziemi śliczną, czternastoletnią dziewczynę, nagą, w młodościach leżącą. Otuliwszy swą siermięgą, położył ją na swoich kołanach i tak oparty w kątku, zasnął.

Z porankiem król, z niesłychanem mnóstwem narodu, przyszedłszy do kościoła, znaleźli znowu straszne ślady strzygi, ale nie mogąc się dowołać Marcina, nie wiedzieli już, co myśleć; szczęściem nadszedł żebrak, jego opiekun, który do grobów otworzyć raz dził.

Dopieroż to było dziwu, kiedy z odwalonego lochu ukazał się żywy chłopiec, śliczną śpiącą króle-

wnę na ręku niosący!... Nie było miary w radości całego miasta, a cóż dopiero króla ojca samego.

Marcin szukał pilnie dziadka, dobroczyńcy swego, ażeby mu do nóg upaść; ale ten zniknął gdzieś bez śladu.

Król, nie wiedząc sposobu, jakby godnie wynagrodzić wybawcę swej jedynaczki, oddał mu ją za żonę—za chętną obojgu ich zgodą.

Powiadają niektórzy, że w dzień ich ślubu stał się dziw nowy, gdy wszyscy pożarci niegdyś przez strzygę do życia powrócili — ale to są, ot tam! babskie bajki.

Tyle pewno, że Marcin po śmierci swego teścia, zanego i szeroce sławnego Goździka, został królem, pod imieniem Ówieczka pierwszego. A jako sam wprzód zaznał, co to bieda, tak też na tronie był dla narodu swojego najlepszym rządcą i ojcem prawym.

U C I E C Z K A.

B a ś Ń.

Przez pola i bory, wieczorną ciemnicą,
Biegł rycerz na koniu z porwaną dziewczicą.

Seweryn Fileborn.

Śmierć nierozdwoi,
Co miłość spoi.

Przysłowie narodowe.

Młody Stach, strzelec z Puszczy zielonej, pokochał się serdeczną miłością z Kasią, dziewczuchą

gospodarską z Dąbrowy. Rodzice dziewczki mile to widzieli, bo Stach był sobie parobek, jako to mówią, i do Boga i do ludzi; więc gdy przyszedł w oświadczyzny, nie zwlekając, dali mu swe słowo, i umówiwszy ślub na ostatnią zapustną niedzielę, jeśli się krzątać, by sprawić córce przystojne wesele.

Alić, kiedy oni myślą około weselnych godów, do Puszczy przyszło wezwanie na wojnę; więc i Stach, zabrawszy swoją rusznicę, ruszył wraz z drugimi chłopcy.

Kiedy, idąc przez Dąbrowę, mijali chatę Kasię, pobiegł raz jeszcze, choć na krótką chwilę, zobaczyć kochankę drogą i pożegnać—Bóg wie na jak długo!

Kasia wtedy z matką starą, nie wiedząc jeszcze o niczem, szyły właśnie szaty ślubne. Skoro im Stach opowiedział, że oto idzie na wojnę, z żalu załamały ręce ale by został, namawiać nie śmiały. Rzewnemi łzami płakały, gdy go, ściskając, żegnaly.

— Kasiu moja! lilio moja! — mówił chłopiec, odchodząc już z chaty.—Wiem ja, że idę—nie wiem, czy powrócę... Powiedz, Kasienko, jeżeli powrócę, czy ja serca mego przez cię nie zasmucę? Czy, kiedy ja będę na wojnie krew lać, ty tutaj nie będziesz z drugim ślubu brać?... Powiedz, Kasiuteńko, do roku trzeciego, czy będziesz czekała powrotu mego?...

— Stasiu! życie, słońce moje, co mi ty mówisz o trzech latach?... Choćby i do śmierci samej, gotowam czekać za tobą!... Wrócisz, albo nie powró-

cisz, nie chcę nigdy znać innego! — zawołała dziewczyna, rzucając mu się na szyję.

Raz jeszcze przycisnęli piersi do piersi, usta do ust — i odszedł Stach na wojnę, na krwawe mordy; Kasia została w chacie, rzewnie zapłakana.

Stara matka tuli córkę, jak może, ociera jej łzy z oczu chustą białą, pociesza dobrą nadzieją.

— Nie płacz, kochanie, wojna się skończy, kochanek zdrowy wróci do ciebie! Wróci do ciebie skrzydlatym ptakiem; będziesz się cieszyć sławnym wojakiem...

* * *

Minęła zima. Wiosna, lato, jesień, przeszły za nią — i znów przyszła zima druga... Nieszczęśliwa wojna rychło się skończyła — i do Kasinej wioski z dziesięciu chłopaków dziarskich, co razem ze Stachem wyszli, powróciło trzech kaleków. Ale jaki jego los spotkał, żaden nie umiał powiedzieć Kasi. Za to w karczmie drugim ludziom mówili, że pewnie zginął, bo cała rota, gdzie służył, co do jednej nogi padła, a od tego dnia i jego nikt już nie widział.

Biednej dziewczynie w oczy nikt tego nie śmiał powiedzieć — ale domysłne jej serce ze spojrzeń dobrych ludzi, co na nią spoglądali litośnie, odgadło jasnie sieroctwo swoje. Jeszcze jednak w głębi duszy nie może się zrzec nadziei, i co dzień zaspiając, myśli sobie: „jutro wrócil...” Co dzień, o białym świecie zrywa się z posłania, siada u okna,

patrzy, czy miły nie wraca — i płacze, jak chmura dżdżysta, wyglądając od poranku do wieczora. A nikt jej oczu nie obetrze z łez; nikt dobrem słowem nie pocieszył... Ta, co łyzy koła, co smutną pocieszała — matka staruszka — śpi już w zimnym grobie!

* * *

Znowu przeminął rok cały — i znów nadeszła zima, Kasia od płaczu ciągłego mało oczu już nie straci; Stacha jak niema tak niema!

Tymczasem ojciec jej stary pojął sobie w drucie małżeństwo młodą wdowę z sąsiedztwa—a jeden krewniak macoszy, bogaty kowal, upodobawszy sobie Kasię, mimo, że widział srogie jej strapienie, począł nalegać, by mu ją dano za żonę.

Darmo się ona ojcu i macosze do nóg rzucała, prosząc, żeby jej za mąż nie dawali; ojciec ją złażał, macocha wybiła. Zalotnikowi kazali dać do kościoła na zapowiedzi, a dziewczynie się do ślubu gotować.

Nieboga Kasia przed złą macochą nie miała czasu cały ten dzień wyrzeć, jako zwykła, na drogę, z kądem co dnia Stacha czekała jeszcze. Dopiero kiedy już wszyscy w domu się uspili, wstawszy z łóżeczka, pobiegła do okna. Miesiąc biały świecił jasno po białej od śniegu drodze — ale na drodze nie widać nikogo!... Dziewczyna z wielkiej rozpaczyskryła w dłonie oczy obie i płacząc, jęła wyrzekać:

— Stasiu drogi! gdzieś ty, gdzie?
Czyś zapomniał już o mnie?
Jam tobie serce dała jednemu,
Dziś mi ślubować każą drugiemu!
Stasiu, kochanku, martwy czy żywy,
Przybądź na pomoc mnie nieszczęśliwej!...

Kiedy tych słów domówiła, zawyły naraz głucho wszystkie psy we wsi całej, coś zutętniało, zaskrzypiał śnieg koło chaty — i sztuk! sztuk! w okieneczko.

— Otwórz, otwórz, Kasiuleczko! — zawołał z dworu głos znany.

Kasia, posłyszawszy, ledwie mogła przytłumić okrzyk radośnego zadziwienia, z piersi się wydzierający. Spojrzała — za oknem na siwym koniu, siwą sukmaną nakryty, stał ukochany jej sercem!

— Tyżeś to? Stasiu!... ach, ty! — odezwiała się z cicha.

— Ja, Kasieczko, ja, kochanie! Przyjechałem wziąć cię z sobą. Chceszli jechać? to się śpiesz!

— Stasiu, na dworze mróz taki, pójdz do chaty, ogrzej się; ja cichutko drzwi otworzę.

— Nie mogę, Kasiu, nie mogę! Mam daleką wracać drogę... Chcesz li ze mną, śpieszże żywo.

Od niezmiernego wesela od siebie odchodząc, skoczyła dziewczyna, przyodziła się na prędce, podniosła z cicha u drzwi klamkę i wyszła z chaty do kochanka.

— Siadaj, Kasieńko, siadaj! — zawołał i pochwyciwszy za ręce, posadził ją na koniu przed siebie.

Koń zarżał, poskoczył — i popędził przez wieś cwałem. Tylko co za wsią, zbił się w bok z drogi, na szerokie, puste pola, skrzące się od śniegu, jak obrus srebrzysty — i leciał, jak wiatr, przez zasy, przez doły i góry, miecąc za sobą śnieżną zawieruchę.

— Stasiu drogi! koń nas ponosi! Trzymaj go! — zawoła Kasia strwożona.

— Nie bój się, miła! Koń świadom drogi. Tęskni za domem, to śpieszy.

— Gdzież ten dom twój, czy daleko? Czy za długo przed nim staniesz?

— Za jedną górą, za jedną rzeką. Odpoczniesz w nim przed świtanem.

Dziewczyna przytuliła się do jeźdźcy — a koń leciał dalej, przez pola, lasy i wioski. Kiedy przez las przejeżdżali, to drzewa szumiąc, gięły się koło nich, jak od wichru i sowy śmiały się głośno po gałęziach. Kiedy jechali środkiem wsi, to wszystkie psy wyły żałośnie — a kochanek Kasin wołał:

— Hejże, hej! co się to dzieje!... Ludzie śpią, kury śpią — a umarli żywych po świecie wożą!

W niej od strachu okropnego zamierało serce w piersiach; od szybkiego lotu konia zapierał się oddech w ustach, ćmiło się w oczach i głowie. Z zamkniętymi powiekami, na pół omdlała, wisząc na szyi Stacha, nie wiedziała, ani którędy, ani jak długo jechali, kiedy koń zwalniać zaczął biegu.

— Kasiu, kochanie! otwórz oczęta — otóżemy już przed domem! — szepnął jej kochanek do ucha.

Kasia, podniósłszy powieki, pojrzała przed siebie. Nie opodał widać było, czerniejącą wśród śniegu wieś, z wysoką kościelną wieżą; przy kościele w jednej chacie migało się jasne światło.

— To pewnie dom twój, gdzie się tak świeci? Kto tam czeka na nas, Stasiu?

— Nie, Kasieczko! mój dom tutaj — odpowiedział jej Stach, wskazując krągły przy drodze pagórek — a koń, trzema skokami, stanął z niemi na jego wierzchołku.

Na pagórku tym gdzieś tam rósł karłowaty jałowiec, a między krzakami, śniegiem przypruszone, sterczały mnogie mogiły. Jedna z nich stała otworem, jak gdyby tylko co wykopana.

Jeździec zeskoczył z konia i zsadził Kasię na ziemię. Z niezmiernym strachem spostrzegła ona wtedy, że zamiast białego konia, stał przed nią biały koński szkielet, na chwiejących się suchych nogach — który z pierwszym wichru powiewem runął i cały w drobne rozsypał się kostki...

Stach, ujawszy Kasię za rękę, stanął z nią u brzegu rozwartej mogiły.

— Kasiu, patrz, oto mój dom, oto moje łóże. Tęskniłaś za mną, płakałaś za mną, jeździłaś ze mną — chodźże teraz ze mną spać!

— Stasiu najdroższy! — Kasia mu odpowiedziała — żywota i po śmierci jam zawsze twoją żyć rada! — ale żywo do grobu bardzo straszno iść... Puśćże mnie, puść między ludzi, niech dożyję jeszcze z niemi, do tej chwili aż mnie żal srogi zabije. Nie długo ci za mną przyjdzie czekać!

— Kasiu, kochanie! nie potem cię wozit, żeby puszczać znów od siebie. Tęskniłaś za mną, płakałaś za mną, wołałaś za mną—teraz musisz ze mną spać.

— Ha, toć bądźże wreszcie wola twoja, mój miły! Ale w grobie ziemia zmarzła tak twardo!... naści oto chustę moją, zaściel nią dół, żeby mięcej było — rzekła chytrze Kasia, podając mu zwiniętą żółtą chustę swoją z głowy.

Upiór, odebrawszy ją, wszedł w dół i zaczął ją na ziemi rozścielać.

Kasia, korzystając z chwili, odwróciwszy się ku wiosce, poczęła biedz, co sił stało — wprost ku owej chacie, gdzie światło z okna migotało. Strach jakby jej skrzydeł dodał, w moment krótki przybiegła pod wieś—przelazła przez płot wysoki—wpadła do chaty i drzwi za sobą zaparła.

Alić, gdy odetchnawszy, obejrzała się po izbie, nowa padła na nią trwoga.

Chata ta była to kostnica. Na środku, na czarnym całunie, w odkrytej trumnie leżał trup, a w głowach jego świeciła się posępna gromnica. Kasia, zobaczywszy to, sama nie wiedziała czy zostać, czy uciekać?—aż tu we drzwi ktoś kołacze.

— Bracie umarły, otwórz umarłemu! — zawołał z dworu głos Stacha.

Trup w trumnie drgnął, — odetchnął ciężko, — i począł zwolna dźwigać się z postania. — Wyjął z trumny prawą nogę i postawił ją na ziemi; zanim lewą zdążył wyjąć, niecierpliwy głos ozwał się znowu:

— Bracie umarły! otwórz umarłemu!

— Zaraz, zaraz; tylko jeszcze wyjmę z trumny lewą nogę—odpowiedział ponuro wstający.

Dziewczyna, patrząc i słysząc te straszne dźwięki, struchlała, poczęła się modlić gorąco do Maryi Panny Przenajświętszej, by ją od zguby uratowała. I wnet, jakby w nią coś tehnęło — sama niewiedząc czemu tak robi, zerwała nitkę u swego różańca, zwłokła z niego jedno ziarnko i rzuciła niem na trupa, co już właśnie tylko co z trumny cały miał wstać... Umarły jęknął,—i padł na wznak w trumnę.

— Bracie umarły! czemu nie otwierasz?—ozwał się głos z za drzwi.

— Dostałem kamieniem w łeb,—upadłem w trumnę jak długi—odpowiedział umarły w izbie.

— Wstawaj, wstawaj, drzwi otwieraj co prędzej!—wołał Stach, tłukąc pięściami.

Trup na to znowu począł się podnosić — przełożył jedną nogę — — kiedy drugą chciał przełożyć, Kasia drugiem rzuciła nań ziarnem, i znów upadł jako pierwaj, w trumnę.

Było tak nie raz, nie dwa, nie trzy razy — aż wreszcie Kasia cały już swój wyrzuciła różaniec; a oto zmarły podnosi się znowu!... Postawił prawą nogę na ziemi, — postawił lewą, — poszedł pomału do drzwi, — uchwycił ręką za zapórę, — gdy w tem we wsi koguty chrapliwie zapiły. Umarły, jakby piorunem rażony, zawlókł się i padł martwy w trumnę, a kołatanie ucichło... Kasia, kiedy tak cicho chwilę trwało, ochłodłszy z trwogi, znużona na duszy i ciele, jako się klęcząc modliła, padła zmorzona twarzą na ziemię i spała twardo aż do dnia.

Rano ksiądz z ludźmi przyszedłszy grześć umarłego, zadziwili się znajdując drzwi wewnątrz zaparte; w tem Kasia, zbudzona łoskotem, odsunęła im zapórę. Zdziwieni tem bardziej, wszyscy ciekawie pytać jej poczęli: zkadby się wzięła i co tutaj robiła? Opowiedziała im zatem wszystko, co się z nią nocy tej działo.

Jedni wierzyli jej, niewierzyli drudzy i chwiali milcząc głowami; ale wszyscy, po pogrzebie nieboszczyka, poszli na wzgórek wskazany po za wsią, gdzie były mogiły poległych w niedawnej bitwie.

Gdy zaszedłszy tam, znaleźli jeden grób świeżo ruszony, ksiądz kazał go aż do dna samego rozkopać; co gdy uczyniono, ujrano z wielkim dziwem rozpostartą żółtą chustę pod ciałem poległego wojaka.

Nikt już wtedy niewątpił o prawdzie Kasinej powieści, i wszyscy, biorąc do serca złą jej dolę, pytać poczęli coby chciała? mają li ją do dom odwieść, albo czy zostanie z niemi?

Kasia dowiedzieć się chciała, jakby daleko było do jej domu; ale tu nawet o nazwisku takiej wioski jako żywo nikt niezasłyszał. Wzięli ją zatem do siebie miłośnierni jedni gospodarstwo i opiekowali się jako córką rodzoną.

Kasia co wieczór chodziła po za wioskę, na mogiłę swego kochanka, prosić Boga o zbawienie jego duszy, a dla siebie o rychłe z nim połączenie; dnie zaś całe trawiąc we łzach i tęsknościach, rychło zbliżała się ku końcowi swojemu.

Nim jeszcze pół roku wyszło, poczuła nadchodzącą śmierć; konając zaś gorąco zaklinała

księdza i ludzi, ażeby ją w Stacha pochowali grobie.

Nie zdało się to przecież księdzu proboszczowi w nieświęconej wypowiedzanej chować ziemi; więc gdy umarła, pochowaną została na smętarnu, przy kościele.

Ale tu dopiero pokazała się moc wielka prawdziwej miłości, której i śmierć nie może końca położyć!... Co wieczór, widzieli ludzie, jak z mogilnika na pagórku wychodziła postać biała,—a z smętarny kościelnego druga szła naprzeciw niej: i złączwszy się wśród pola, od zmroku aż do świtania błądziły razem po błoniach, jako dwa mgliste, wiatrem pędzane obłoki.

Daremnie nad obudwoma grobami odprawiano msze i modlitwy; dziwy te trwały dopóty, aż ludzie, widząc je, uznali, że takiej wiernej miłości nie godzi się stawać na wstępie, i ksiądz, wyjąwszy trumnę Kasiną z smętarny, pogrzebł ją w kochanka grobie.

Na pamiątkę zaś wieczystą tej wiernej miłości, ludzie dobrzy na mogile rzeźbiony położyli kamień. A kto tam przyjdzie, albo przyjeździe, przeczyta sobie.

Miłość prawdziwa
Tutaj spoczywa.
Złączona w grobie.—

SKARB UKRYTY.

Baśń.

Jan parobczak był to zuch,
 Śmiał się z strachów i upiorów,
 A topielców, czartów, zmorów
 Bał się—gdyby pająk much.

A. Niewiarowski.

Możny jeden, ale zły i łakomy pan, choć bez pracy wziął dziedzictwem liczne a zyskowne włości, i skarbiec w złoto, w srebro bogaty, nie przestając wszelakoż na tem, co posiadał, całe życiełożył tylko na pomnożenie zbiorów,—nie dbając, w swem zaślepieniu, czyli godziwie, albo niegodziwie. Więc nie dość, że przez wiek wszystek nie wsparł biednego w potrzebie, chociażby kawałkiem chleba, — ale na podobieństwo upiora, co się człowieczą krwią tuczy, wyciskał z ludzi ostatnie mienie i krew ich

Ludzie nieszczęśni we włościach jego, pracą i głodem wycieńczeni srodze, podobniejsi byli marom, niżeli żywym stworzeniom; pomimo to przecie, okrutny pan coraz ich srożej gnębił.—Lud marzył w ziemie w lichych chatach, przez pół z poszycia odartych, bez iskiarki ognia w piecu; — bo skąpy pan z niezmiernych kniei nie dał wziąć gałązki drwa; na przednówku marł z puchliny, żołądźiowego najadłszy się obleba; w lecie ginął w niemocy od znoju i skwarów; w jesieni z pijaństwa, — przepijając

w arendzie całoroczną pracę, bo pan za wymuszoną gwałtem robocizną zawdy kartkami na gorzałkę płacił. A tymczasem skarby skapca rosły z każdym dniem widomie.

Darmo mu ludzie pobożni, darmo bogobojna żona przypominali, by się upamiętał,—grożąc za ludzką krzywdę sprawiedliwą karą Bożą; on śmiał się z grózb i przestróg, a żonie pogroził pięścią, aby mu w sprawę nie wglądała.

Jako zaś łakomi ludzie nikomu wierzyć nie radzi, ale własnego cienia ustrzedzby się chcieli,—tak też i ten oto chciwiec, trwożliwy o swe pieniądze wynalazłszy w zwaliskach starego lamusu opustoszałe piwnice, poprzenosił do nich jednej nocy wszystkie skarby tajemnie. — Nazajutrz (było li to dopuszczenie Boże, czy że się okrutnik dźwigając noc całą oberwał?) legł chory w łóżu; a niechcąc wołać ani lekarza, ani księdza, ażeby im nie zapłacić, skończył — klnąc w chwili śmierci niebu i ziemi. Że był szlachcic i bogaty, chociaż zmarł bez rozgrzeszenia, pochowano go jednak za wsią na smętarnu, w lochach pod starą kaplicą.

Alić w kilka dni po jego pogrzebie, ukazał się znak widomy, jako o pomstę do Boga woła krzywda biednych, — i jako dusza, co się za żywota w ziemskich utopiła dobrach, po śmierci odjąć się od nich nie mogąc, cierpi męki potępienia. Każdego dnia o północy—widywali wszyscy ludzie—umarły dziedzic wychodził z smętarny, śmiertelnym okryty całunem; a obszedłszy w koło gumna, znikał w sadzie po za dworem,—i aż nad samem dopiero świtaniem powracał nazad do grobu.

Z razu trwoga niesłychana ogarnęła gminę całą przed tak okropnem zjawiskiem; o zmroku już żadna żywa dusza nie śmiała zajrzeć do sadu, — a z nadchodzącą północą wszystko kryło się po chatach, i z drżeniem słuchało, ścisnąwszy się w kupę, ponurego owczarskich psów wycia, gdy mimo gumien szedł potępieniec.

Wszakże pomału — pomału, nawet dzieci i kobiety oswoiły się ze strachem; a co śmielszych chłopaków wzięła piec ciekawość, wysłedzić w sadzie upiora, co robi? Uwziąwszy się więc, wypatrzyli rychło, że strach wszedłszy do sadu, kroczył do starego lamusu, i znikał w jego zwaliskach do świtu.

To gdy nazajutrz w karczmie rozpowiadały chłopaki, starzy odgadnęli zaraz, że pewnie na miejscu owem zmarły przechował pieniądze; szli zatem na dwór do pani, którą serdecznie kochali, radząc, żeby szukać kazała. Wyprawieni ze dwora słudzy szukali pilnie dzień cały, — napracowali się srodze, przerzucając stosy gruzów, a w wieczór, nie nie znalazłszy, wrócili znużeni do domów.

Był zaś tam we dworze na ów czas parobek, imieniem Jan — jedyny czy do roboty, do wypitki, czy wybitki, — a zuch i zawadyaka, coby dyabłu nie zszedł z drogi. Ten za dni kilka po marnem szukaniu, przyszedł do pokoju pani, a pokłoniwszy się do kolan jej, prosił, by mu pozwoliła na swą rękę szukać skarbu.

— Pan Bóg z tobą, miły Janku! — odpowiedziała mu wdowa — jeśli on ci dopomoże, ja dając wolność

ku temu; a gdybyś za jego wolą przenajświętszą co znalazł, podzielim się sprawiedliwie.

W tenże więc dzień, kiedy zmierzchno dobrze, — a był wieczór dżdżysty i ciemny, — Jan szedł z rodzonym na smętarz.

Otwarli wrota kaplicy, — odemknęli ciężkie żelazne drzwi grobów, — i śmiały parobczak, skrzęsawszy ognia, spuścił się do lochu, przykazawszy bratu wchód za sobą zawalić, — zamknąć za sobą kaplicę, — a we wsi nie powiadać o niczem nikomu.

Przy jasnym blasku smolnego łuczywa znalazł wnet trumnę swego niegdy pana, świecącą między innemi świeżym złocistym galonem. Tuż obok niej stała druga, z prostego dębowego drzewa, zdrowa jeszcze, jakby dziś spuszczone. Jan odwiekował ją żywo, wyjął leżącego w niej trupa, i zawlokłszy w kąć lochu, sam jego okrył się całunem, a potem legł cichutko w trumnie, wiekiem się przysłaniając. Nie długo leżał, a oto i północ przyszła.

Potępieniec z okropnym poruszył się jękiem, — odrzucił wieko z łoskotem, — powstał: a blada posępna łuna, bijąca od jego trupiej głowy, oświeciła cały loch.

Jan, patrząc nań przez szparę, czuł jak mu zimne mrowie od wielkiego palca w nogach szło do głowy i włosy dębem stawały; — lecz nie czas było namyślać się już: zebrał całą odwagę do serca, i odrzuciwszy wierch z trumny, stanął przed swoim nieboszczykiem panem.

— Kto tutaj? — podziemnym głosem odezwało się widmo.

— To ja, Jan Zmora, parobek twój, panie.

— Po co tu przyszedłeś?

— Służyć ci, panie, po śmierci,—jakom ci służył za żywota.

— Żywyś ty, czy umarły?—zapytał strach.

— A dyć umarły, mój panie. Nie mogłem żyć już dłużej ze strasznego żalu po moim drogim pani-sku, a konając uprosiłem, żeby mnie chociaż przy was pogrzebali.

Upiór nie dowierzając, obszedł go wkoło, wietrzając, czy żywej nie poczuje duszy, ale Jan tak się od stóp do głowy trupim owinał całunem, że cuchnął wszędzie niby trup.

— Kiedyżeś umarł?

— W niedzielę.

— A kiedyś chowany?

— Dzisiaj o południu.

— A na którą idziesz drogę?

— Na tę, co i ty — mój paniel bo cię na krok nie odstąpię.

— To chodź za mną—rzecze nieboszczyk.—No, idźże przodem.

— Nie,—mój paniel idź ty przodem, a ja za tobą, jakom chodził za żywota.

Szedł tedy upiór milcząc po schodach ku górze, a Jan za nim krok w krok tuż. Kiedy stanęli u wnijścia, umarły zawołał głośno:

— Otwórzcie się drzwi!

I ogromne drzwi żelazne odwały się z łoskotem.

Minęli ciemną kaplicę, — i znowu na rozkaz upiora otwały się jej podwoje. — Kiedy pośrodkiem

smętarza wązką przechodzili ścieżką, Jan widział w lewo i w prawo gromady duchów powstające z mogił: jedne klękały przy krzyżach swoich, modląc się z cicha,—drugie siadłszy na mogiłach, jęczały i łkały smutnie, — a upiory i strzygi biegły za smętarz z ludzi krew przez noc ssać.—Z smętarza zwyczajną drogą kroczył potępieniec ku dworowi, i ominawszy gumna, wszedł do sadu, a wreszcie między zwaliska lamusu.

— Otwórz się!—zawołał umarły.

I ogromny kamień, leżący u wnijścia, odwalił się na bok, odkrywając zbutwiałe schody piwnicy.—Nieboszczyk przodem, parobek śmiały za nim, weszli do pustego sklepu, krwawem gorejącego światłem.

Na okrąg ścian w kotłach, w garncach mnogich stały złote i srebrne pieniądze, czyszcząc się z grzechów swojego pana we krwawym płomieniu; w pośrodku leżał wielki płaski głaz.

— Licz pieniądze!—ponuro odezwało się straszdyło.

— Licz ty je sam, panie, — jakoś je za życia liczył—odpowiedział Jan parobczak.

Umarły wtedy począł na płaskim kamieniu liczyć, garnek po garnku, kocieł biorąc po kotle, pieniądze, — od ostatniego poczynając, a na pierwszym kończąc groszu.

Kiedy zaś wszystkie policzył, zawołał na parobczaka:

— No! czas nam już nazad w drogę—i wyszedł z lochu,—Jan za nim.

— Zamknij się!—zawołał parobek, gdy wyszli na wierzch ziemi; ale na słowa żywego człowieka kamień został nieporuszony, zostawując wolny wchód do skarbów.

I podwoje u kaplicy, i drzwi żelazne grobów również otworem zostały, choć Jan zamknął się im rozkazywał.

Zaledwie podążyli zniżyć po schodach między trumny, kury ozwały się po raz trzeci: i umarły bezwładnie upadł na swoje posłanie. Grobowa jasność zagasła na jego twarzy, a wieko samo zatrzaśło się na trumnie.

Śmiały parobczak natenczas, ażeby upiór nie mógł więcej wstawać, przebódl mu serce osikowym kołem, a trumnę dziewięćkroć lipowem opasał łykiem.

Potem, wyszedłszy z lochu do kaplicy, klęknął przed ołtarzem i gorąco dziękował Bogu za okazaną sobie łaskę.

Kiedy już był dzień dobry, poszedłszy najpierw z dobrą wieścią do pani, kazał założyć do fury cztery konie, i przewiózł z lamusu skarb wszystek. — W kilka zaś dni, za zgodą pani, Jana i całej gminy, tak rozdzielono znalezione pieniądze: jedną ćwierć dano na kościół, — drugą na wszystkich biednych ludzi, których nieboszczyk krzywdził przez życie swe całe, — trzecią część wzięła pani wdowa, — czwartą parobek Jan.

Tak Jan, z chudego pachotka zostawszy bogaczem, zakupił sobie tęgi kawał ziemi, i w pracy, uczciwości a prostocie świętej żyje dotąd na Mazu-

rach,—opowiadając, gdy mu się gość zdarzy, jakąś sztuką znalazł skarb ukryty.

Jeśliby się więc miał znaleźć kto taki, co by wątpił o prawdziwości tej powieści, może się iść spytać jego samego.

KOZIELEK.

Gadka.

Miała babuleńka kozła rogatego...
Pieśń gminna.

Około Ciechanowa, w jednej wsi szlacheckiej, mieszkał sobie pan-szlachcic na zagrodzie. — Że był szlachcic urodzony, niechciało mu się nie robić, a pić bardzo; tak tedy, poradził sobie, kradnąc chudobę chłopom po wsiach okolicznych. — Żaden chłop nie mógł uchować żrebiaka, ani cielaka,—baba kury, ani gęsi, jeśli się o nich nasz szlachcic zwiadzał.

Kiedy już chłopci nareście nie mogli się dać z nim rady, jedna baba-czarownica obiecała im przyjść w pomoc i ukarać łapikurę.

Dnia jednego, ciężką zimą, miał on powracać z targu do domu, tuż właśnie obok chaty czarownicy, samotnie opodal za wsią stojącej. Baba umyślnie wypuściła wtedy na drogę kozła swojego, a sama skryła się w izbie.

Nie zadługo — tętni ziemia — i szlachcic, dobrze zakropiony, pędzi oklep na kobyle... Patrzy: — kozieł samotny skacze po nad drogą; obejrzy się, — nikt nie widzi: — więc co tchu skoczył na ziemię, złapał koziełkę i dalej z nim na szkapę.

Jedzie, a wesół z zdobyczy, począł pieścić się z koziełkiem, — otulił go sukmaną i głaszcząc po czarnym karku, począł się nad nim litować: — „Zmarzył moj kozuniol! — o zmarzył...”

Aż tu kozieł, — a nie kozieł, ale dyabeł, — jak nie odwróci łba ku szlachcicowi, jak wywróci strasznie ślepie, jak ze śmiechem beknie na całe gardło: — „Zmarzył kozuniol! zmarzył...” jeździec struchlały wypuścił go z rąk i poleciał, jak szalony, do domu... A od tego wypadku tak mu się pomąciło w głowie, że do dnia śmierci nie już mówić nieumiał, tylko te słowa:

„Zmarzył kozuniol! zmarzył...”

DRWAŁ I DYABEŁ.

B a ś Ń.

Nie tak dyabeł czarny, jak go malują.
Przysłowie.

Był sobie jeden poczciwy, pobożny i pracowity, ale bardzo, bardzo ubogi drwał. Z lichej chałupy

w której z żoną i dwojgiem drobnutkich dzieciśczek siedział, musiał cztery dni w tydzień dla dworu odrobić, a dla siebie zapracować wydażył zaledwie tyle, że z głodu nie umarł z rodziną. Alie na ostatnią niedolę, nawiedził naraz Pan Bóg kobietę jego sroga i długą niemocą.

Biedny człowiek, ratując ją wszystkimi siłami, wyszypiał się do ostatka — posprzedawał suknie i sprzęty — że wreszcie w całej izbie cztery kąty i piec piąty, liche łoże, dzieża do chleba i żarna zostały. Pókiż jeszcze było chociaż co umleć w tych żarnach na strawę... Ale na ciężkim przednówku wyszafowało się do szczętu, co było zboża w domu, tak, że jednego dnia biedny drwał, wytrząsłszy wszystkie miechy, ani garstki jednej ziarna nie mógł uzbierać. A tu żona osłabiona, na słomie leżąc, jęczy z głodu i dzieci piszczą z głodu. Jęknął cicho nieszczęśliwy ojciec, a nie wiedząc już, co począć, przyciśniony ostatnią potrzebą, odważył się pójść do pana, którego kiedyindziej, jak ognia się bojąc, z daleka unikał.

Oj, bo był też to i pan! Sztuczka, jakiej daleko, daleko, szeroko szukaćby potrzeba drugiej... Dorobiwszy się i tak i siak trochę grosza, psim figlem jakimś wyrzucił ze wsi wdowę i dzieci dawnego dziedzica i nadęty nową godnością, wziął się do rządów po swemu. Gospodarował, co prawda, porządnie i bardzo pilnie, ale na grosz nie było żadnego żyda nadeń chciwszego. Byłby z dębu dał łyka, a z ludzi skórę, żeby tylko mógł ją sprzedać.

Wiary zaś to był iście pogańskiej. Jak kto, przychodząc do niego, pochwalił Pana Jezusa, prze-

nigdy nie odpowiedział: na wieki. Jak mu nie w porę były słoty, albo susze, bluźnił tak okropnie na wszystkie świętości, że ludziom włosy, słuchając, wstawały. Kiedy dziad przyszedł po prośbie, nie dał mu nigdy grosika złamanego, jeno się naprzędriwał i naśmiał z biedaka. A że do tego wszystkiego miał obyczaj kłąć: bodaj dyabli wzięli! szepotali sobie ludzie pocichu, że taki go kiedy i wezmą, pocieszając się tą nadzieją w swym ucisku.

Niedziw, że do takiego kanaczka z prośbą odważyć się trudno przyszło drwalowi; odważył się jednak, bo musiał i pokłoniwszy się mu da nóg, żebrał o kęs jaki strawy dla zgłodniałej rodziny, klnąc się na zbawienie duszy odrobić, albo oddać po żniwie. Ale twardy, jak opoka, pan, ani wysłuchać do końca nie chciał żalów i prośb jego; pogroził jeszcze, że jeżeli żona drwalowa dłużej tak będzie w łóżku chorą udawać i do roboty nie wyjdzie, z chałupy ich wyrzucić każe.

Strapiiony nieborak szedł z dworu na wieś, od jednego do drugiego sąsiada, prosząc o wsparcie; że przecie rok był głodny i drogi, wszędy była koło ludzi bieda, zaledwie więc uprosił żyta na jedną bułeczkę chleba. I za to Bogu i dobrym ludziom podziękował drwal serdecznie, a przyszedłszy do domu, umeł w żarnach zboże, upiekł z niego bułkę i podzielił nią żonę z dziećmi. Sam, ażeby więcej miały, nie nie jadł, tylko wymiótłszy z kamieni resztki mąki i otrąb, zrobił z nich mały podpłomyk, i wziąwszy go sobie w kieszeń, odszedł z siekierą do lasu na robotę.

Właśnie dnia tego wypadła mu robota niedale-

ko bagniska, gdzie, jak starzy powiadali ludzie, dyabeł z dawna miał siedlisko; ale niebogi człowiek, biedą swą i pracą zajęty, ani wspomniał na te wszystkie powieści, jeno zdjawszy z siebie wierzchnią suknię, wziął się żywo do siekiery.

Na łoskot siekiery nadleciał z bagniska ciekawy dyabeł i zobaczył drwala pracującego w pocie czoła. Przejrzał wnet całą jego biedę, że od wczoraj nie miał kęsa chleba w ustach i że lichy podpłomyk w kieszeni był jego ostatnim posiłkiem; a jako dyabeł, zawsze na złe ludzkie chciwy, skradł się, gdzie leżała zdjeta sukmana drwalowa, porwał z niej placek i rzucił go w najgłębszą otchłań bagniska. Ciesząc się ze swojej niecnoty, poleciał czempredzej do piekła pochwalić się z niej przed najstarszym czartem.

Ale chociaż to i najstarszy czart, więcej miał w sobie sumienia i litości, niżeli nie jeden człowiek, krwią Chrystusową odkupiony; skoro rzecz całą usłyszał, zatrząsł się wszystek ze złości.

— Jakto? — zawrzęsnał — toć ty hultaju śmiał taki wstyd dyabłom zrobić!.. pocziwemu człowiekowi, co przez całe życie, pomimo najcięższej nędzy, prawą zawsze chodził drogą, śmiałeś porwać ostatni kęs chleba, bez którego z głodu zemrzeć może?... Leć mi natychmiast, łajdaku, za tę krzywdę, którąś mu wyrządził służyć póty temu człeku, aż cię sam od siebie odprawi.

Psotny dyabeł, sfukany i zawstydzony, wyleciał z piekła i przemieniwszy się w parobka, szedł ku miejscu, gdzie drwala zostawił.

Biedny człowiek, znużywszy się pracą, siedział właśnie pod drzewem, szukając napróżno po kieszeniach sukmany swego jedyne go posiłku. Nie znajdując go, opuścił cicho głowę na piersi i dwie łzy okrągłe, wielkie, jak dwa ziarna grochu, potoczyły się z oczu jego po twarzy; a tyle było okropności w tej cichej boleści pocziwego człowieka, że dyabeł, patrząc na nią aż zadrżał i pożałował z głębi duszy swej psoty. Zbliżył się wtedy do drwala i siadając obok niego na kłodzie, zapytał:

— Miły człowiecze, cóż to tak płaczecie?

— Bogać nie mam płakać! — odrzekł drwal. — Dobę już całą chlebam w uściech nie miał, aż cały z sił spadłem, a oto teraz ostatni kęs ktoś mi ukradł z kieszeni. Oj, niecnota bez sumienia!... chyba to tylko ten sam dyabeł, co powiadają, że tu w bagnie siedzi; człekby się na taką psotę nie odważył.

— Hal — mruknął, spuszczać oczy dyabeł — nie takić bo to i dyabeł straszny, jak go malują... Ależ powiedźcie mi, mój człeczko, z kąd się was taka bieda u licha czepiła? Ej! czyście tylko nie za bardzo hulali, a teraz może pokutujecie?

— Tak... i jak niema być bieda? Z lichego kawałka ogrodu i mizernej izby człek musi cztery dni do dworu odrabiać, a w resztę dni to za psi pieniądze, co ledwie na sól wystanie. Jeszcze teraz, w czas najcięższy, Bóg mi nawiedził kobietę chorobą, że już osiem niedziel w łóżku leży. Trzebać ją było ratować — i wszystko, co się w domu znalazło, poszło między ludzi; dzisiaj zostało nam tylko umrzeć z dzieciskami z głodu.

I znowu nieborak pochylił smutnie głowę, a oczy zaszyły mu łzami nowemi.

— Posłuchajcie no tylko, gospodarzu! — rzekł dyabeł, biorąc go za rękę, a będzie nam obu dobrze. Oto przyjmijcie mnie za parobka, a kiedy wy dla dworu robić musicie, ja tymczasem tyle zapracuję, że dla nas wszystkich wystarczy. Właśnie szukałem sobie gdzie służyć, ale o tej porze trudno gdzie miejsce znaleźć; musiałbym się ot kołatać po świecie. Szczęśliwy będę, jak mi dacie u siebie przytulisko i co sił starczy pracować wam się niepoalenie.

— Wola twoja, mój przyjacielu! — odpowiedział drwal. — Dachy i kąta w chacie nikomu nie bronię; ale pamiętaj, że u mnie krwawa bieda i o głodzie pracę zaczynać musisz.

— No, o to nie miejcie kłopotu, mam ci ja ze sobą zapas, co na dziś — jutro dla nas wszystkich wystarczy.

To mówiąc, bies zdjął z siebie podróżną torbę, wydobył wódki, chleba i słoniny i drwala z sobą do obiadu zaprosił.

Po obiedzie zagadł znowu dyabeł:

— Gospodarzu, zasłyszałem gdzieś po drodze, że wasz pan chciałby ten kawał lasu na pole wyrudować? Idźcież do niego i ugódźcie się, a będzie kawałek grosza.

— Ba, pan się chce ogółem o całą robotę zgodzić — a ma do wyrudowania pięćdziesiąt włók lasu. Ileby to lat nam trzeba, żebyśmy w dwojgu tej roboty podołali?

— O to nie macie kłopotu, moja już w tem sprawal Wierzajcie na moje słowo; mam ja już takie sposoby, że niedługo się wszystko skończy. Nie traćcie tylko czasu i chodźcie do dworu na zgodę!

Drwalowi się to okropnie dziwnem zdawało, o czem go dyabeł zapewniał; ale pomyślał sobie, że uczciwe człowieczysko czemu by go zwodzić miało? Uwierzył — i poszedłszy z nim do pana, zgodził się wyrudować cały ów kawał boru — za psi pieniądz — za tysiąc złotych i kilkanaście korcy zboża.

O zmroku, parobek, poczęstowawszy z zapasu swego gospodarza i jego rodzinę, począł się wybierać na robotę do lasu, drwala, żeby został przy żonie, namawiając. Ale ten ani sobie mówić nie dał, żeby parobek sam miał za obu pracować; wzięwszy zatem siekiere, poszedł z nim do boru.

Kiedy na miejscu stanęli, drwal dopiero spostrzegł, że parobek jego zapomniał wziąć z sobą siekiery.

— A człowieczel cożes ty zrobił? — zawołał, tożes ty w domu siekierzyska zabaczył! Wracajże po nią czempredzej.

Roześmiał się dyabeł na te słowa.

— Oho, mój gospodarzu, siekierą i rydlem to byśmy przez rok cały niewiele zrobili. Poczekajcie tylko chwilkę, zaraz ja się tu wezmę inaczej do dzieła.

To mówiąc, odszedł w głąb lasu i począł wicherem się kręcić. Ogromne sosny, graby dęby, powyrywane z korzeniem, połamane, jak drobne słomki, z hukiem i piskiem prawdziwie piekielnym, poczęły się walić na ziemię... Drwal przestraszony i zgrozy pełen, uciekł co tchu w pole, przyczekał chwilę za parobkiem, a wreszcie odszedł, modląc się, do domu.

Dyabeł o świcie dopiero powrócił do chaty — ku wielkiej radości drwala, który już sobie pomyślał, że go padające drzewa zabiły i niejeden pacierz zmówił za jego duszę. Zdziwił się nie mało pocziwe człeczysko, słysząc że parobek całą noc pracował, a ciekawy, co też mógł zrobić w taki czas przeklęty? poszedł z nim ku południowi znowu do lasu.

Przyszedłszy, stanął niemy od dziwu, przecierając sobie oczy, bo mu się snem zdawało wszystko, na co patrzył.

Cały ogromny kawał boru, o który ugoda z panem stanęła, leżał wszystek na ziemi, powalony z korzeniem, tak, że ani jedno drzewko stojące nie pozostało.

— No, gospodarzu, wszakżem wam powiedział, że mam ja sposób w prędcie wszystko skończyć — ozwał się dyabeł do drwala, który jeszcze dotąd nie przemógł ust otworzyć, ani oczu oderwać od zwalonych łomów.—Trzebaby teraz tylko sprowadzić pana, żeby zobaczył i zapłacił.

Ledwie to wymówił, posłyszeli za sobą tentent konia: był to dziedzic, który, wybrawszy się w pole z charty, zboczył zobaczyć czy robota już zaczęta.

Charty, skoro zobaczyły parobka, zawyły prze-
rażliwie i wyrwawszy się ze smyczą uciekły, skom-
ląc, w pole.

Drwał, który już i tak domyślać się począł z kim ma sprawę, widząc to struchlał, i usunawszy się od dyabła, modlił się w duchu do Najświętszej Panny. Lecz pan, co ani w Boga ani w dyabła nie wierzył, tyle tylko widział, że tanim pieniądzem i prędko wy dostał kawał roli na folwark. Zdziwiony jednak nieco zawołał:

— Hol tegiś ty widzę, chamie i z parobkiem woim, kiedyście przez noc jedną taki kawał pracy uśpieli!

Drwał, co nigdy nie szukał chluby z cudzego dzieła, tem mniej chciał jej teraz z dyabelskiego; pokłoniwszy się więc panu, odpowiedział, jako jego parobek to wszystko sam sprawił i jemu też cała należy nagroda.

— Nie tak! nie tak, gospodarzu! — zawołał pa-
robek — jam się wam zgodził służyć za kąt w chacie i ognisko, a co zarobię, wasze wszystko.

— Dzielcie się sobie, jak się wam żywnie po-
doba; a chodź który po pieniądze; może się i zgo-
dzim o nową robotę — rzekł dziedzic, zawróciwszy ko-
nia i odjeżdżając do dworu.

Drwał ani sobie dał mówić, żeby miał iść po
zapłatę; a tak parobek sam się po nią wybrał.

Przemądry dziedzic, przyjechawszy do domu, wyliczył zaraz na stole sprawiedliwie tysiąc złotych, rozmaitemi pieniędzmi, jakie miał pod ręką, i cho-
dząc po pokoju, zacierał ręce z radości, że sobie kilka tysięcy oszczędził, ciesząc się przytem na dal-
sze korzyści z głupich chamów.

Ale kiedy po pieniądze dość długo nikt nie
przychodził, pomyślał sobie, że możnaby jeszcze
oszczędzić kilkadziesiąt złotych, mieszając pięciozło-
tówki między talary, a półzłotki między całe złotówki;
chłop głupi ani się spostrzeże w takiej kupie pienię-
dzy. I co pomyślał, wnet uczynił.

Za chwilę wszedł też parobek po zapłatę.

— No, chłopie! — rzekł pan — pójdz-że sam!
Oto masz tu okrągło tysiąc cały złotych. Kawał
grosza zarobiliście, nie każdyby dał wam tyle, co ja!
Przeliczyć sobie dobrze, żebyś potem nie myślał, że m-
cie skrzywdził.

Ale parobek, pokornie się kłaniając, zdał się
na pańską cześć i sumienie; zgarnął nie liczone pie-
niądze do miecha i zawiązał, a dziękując za prędką
zapłatę, miał się ku odejściu.

Pan radby wszedł był zaraz w nową umowę
o ubicie sążni i zwieszenie przed browar; gdy prze-
cież parobek bez gospodarza nie chciał nic poczynąć,
miał interes na potem odłożyć.

Dyabeł, przyszedłszy do drwała, oddawał mu
wór z pieniędzmi.

— Mój przyjacielu! — odpowiedział gospodarz —

wiesz, że ja na ten grosz nie chorowałem, wszystko to twoja sprawiedliwa własność! Weźże ją sobie i idź w świat zdrów.

— Ej, gospodarzu, a godziź się to tak wyganiać człowieka z domu, przyjąwszy?... A czy ja wam to co złego zrobiłem, czy was do złego nawodzę?

— No, nie! — rzekł, drapiąc się w głowę drwał uczciwy, wstydząc się trochę za swą niegościnnosć — ale bo widzisz, teraz masz tyle, że ci nie trzeba mojej mizernej gospody. A żeby ci już tak prawdę zupełną z serca wypowiedzieć, to mi się po twojej pracy widzi, że albo z dyabłem trzymasz, alboś (bez urazy) sam dyabeł.

— Ho — ho! — rozśmiał się parobek — tacyście to domyśnil... Ale cóż to wam, choćbym był i dyabłem, wszak od was nie chcę zapisu na duszę, ani od wiary wyrzekać się każę!... Pomówmy ze sobą szczerze. Już to kiedy mnie nie chcecie, pójdę sobie precz, ale pieniądze wziąć musicie. Stusznie się wam one należą i nie darmo wam je daję; zapłata to za ową bułkę, co ją wam wczora ukradłem. Jeśli tych pieniędzy nie weźmiecie, muszę wam służyć dłużej, aż krzywdę odrobię. Zresztą, możecie jutro spytać jutro księdza, czy grzech je mieć będzie.

Ostatnia uwaga przekonała zupełnie drwala; wziął pod tym warunkiem pieniądze i schował pod żoniną poduszkę.

— Ale, ale — rzekł dyabeł, zabierając się do odejścia — żebym i ja też coś zarobił, darujcie mi te dziesięć talarów, których pan nie dorachował; już ja się o nie upomnę.

— Z całego serca daruję ci je! — odrzekł drwał, podając mu rękę i rozstali się w najlepszej przyjaźni.

Wieczorem siedział sobie w dworze pan na kanapie, paląc fajkę na długim cybuchu i popijając herbatkę; wtem otwary się drzwi i parobek-dyabeł wszedł z pokłonem do pokoju.

— A co tam? — zagadnął krótko obyczajem swoim panek.

— A oto, z wielkiem przeproszeniem, przyszedłem do wielmożnego pana jeszcze wedle tej zapłaty. Jakaśmy się obliczyli, brak okragło dziesięć talarów. Wielmożny pan się omylił widać — ale pan przecie nie będzie chciał mojej szkody.

— Co ty mi znów bajasz ośle jeden! — odburknął pan gniewnie, buchając dymem. — Dwa razy wszystko liczyłem, ani grosza nie zbywało. Jeszcze wam to mało, co? że chcecie ze mnie wyłudzać?... A jeśliś zgubił po drodze, nie moja wina, żebym ci płacił drugi raz.

— Ej! gdzie tam zaś panie zgubiłem!... Worek nowy, całuteńki, a jak go tu zawiązałem, tak prościutko związany do domu przyniosłem. Niechaj mnie dyabli wezmą, jeśli słówko kłamię.

— A mnie niech dyabli wezmą, jeśli cię o grosz skrzywdził! — wrzasnął pan i zerwał się chcąc za drzwi wyrzucić natręta.

Ale mniemany parobek na te słowa tylko czekał. W mgnieniu oka z pokornego chłopca prze-

dzierzgnął się straszny dyabeł; pochwycił chciwca za gardło — wycisnął z niego złą duszę — porwał ją w szpony, jak jastrząb wróbla, i przez komin wyleciawszy, poniósł ją prosto do piekła...

Służący, wszedłszy sprzątnąć od herbaty, zastał pana trupem. Sprowadzony z miasta doktor, nie już wskórać nie mógł, powiedział tylko, że niobeszczyka apopleksya zabiła.

Drwał uczciwy szedł zaraz nazajutrz do spowiedzi. Gdy mu ksiądz pieniądze zatrzymać bez grzechu pozwolił, wyratował za nie żonę z choroby i zapomógł się tak, że mu przy pracy i trzeźwości nigdy już więcej bieda we drzwi nie zajrzała.

ANIELSKA CZYLI DYABELSKA GÓRA

pod Rawą

Podanie.

Głód, powietrze, ogień, woła—
I wszelaka zła przygoda—
Będą temu, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą.

R. W. Berwiński.

Kiedys—Bóg sam wie jak niezmiernie dawno—
na górze tej stał był warowny zamek, a w zamku

gnieździł się dyabłu oddany zbójca z gromadą łotrów, z którymi łupił naokół kościoły, dwory i chałty, napadał po drogach podróżnych i niesłychane wyprawiał gwałty. Kiedy już nareszcie ludzie dłużej wytrzymać nie mogli i przebrała się miarka Bożej cierpliwości, przyszedł na zbrodniarzy dzień kary.

W noc straszliwą, w pośród grzmiącej burzy i piorunów, ogień siarczysty spadł z nieba na zamek i zamienił go w zwaliska; zbójców zaś, z między płomieni, widomie dyabli do piekła porwali.

Gdy się wieść o tem rozeszła po kraju i ludzie kiedy z pierwszej ochłodnęli trwogi, znaleźli się tacy, co pomańc o skarbach niezmiernych, przez zbójców w lochach zamku gromadzonych, zapragnęli je wynaleźć; ale czart, który teraz zamieszkał sobie w gruzach ogorzałych, tak ich przepłoszył, że nie jeden tam więcej chodzić nie śmiał, a dyabli wokół góry wyprawiali co noc harce, zwodząc i strasząc nieświadomych przechodniów.

Minęło tak może sto, może i dwieście lat, kiedy jednym razem zjawił się, nie wiedzieć zkąd, pustelnik, który pomiędzy szczątkami murów zlepiwszy sobie mieszkanie osiadł na górze. Z tej pory ustały na niej wszelkie strachy i przeszkody, zapewne światobliwemi jego pokonane modły, a lud z okolic, zasłyszawszy o bogobojnym starcu, zaczął się schodzić do niego w utrapieniach swoich. On chorych leczył, strapionych pocieszał, a nieszczęśliwych i ubogich hojną wspierał jałmużną. Nie wiedząc imienia starca, wszyscy go—aniołem, a górę—anielską zwali...

Alić, po pewnym czasie, pustelnik, czy to zbrzydźszy sobie grzechy ludzkie poszedł gdzie w głębokie puszcze? czy żywcem do nieba wzięty? dość, że zniknął naraz bez śladu.

Znów natenczas niektórzy okoliczni mieszkańcy zapragnęli bogactw zbójceckich, o których wspomnienie trwało; ale, choć teraz nieczysta siła nie przeszkadzała widomie, napróżno się mozolili, rozwalając twarde mury i kopiąc w gruzach, nie znaleźli ani złamanego szeląga.

Przestali więc ludzie zgoła myśleć o wydobyciu onych skarbów, jakbądź wieść o nich szła wciąż od pokolenia do pokolenia.

Dopiero gdy Prusacy trzymali Warszawę, zdarzyło się, że do Rawy przywędrował kusy, w trógraniastym kapelusiku, w pluderkach, pończoszках, trzewieczkach, a chudy jak szczapa, cudak, opowiadając, że umie skryte wynajdywać skarby i że jest ich bez liku na górze Anielskiej. Na przekonanie niedowierzających puścił pod górę kulę złocistą, która się sama z siebie na wierzech zatoczyła i legła w pośrodku gruzów.

Mieszczanin rawski, do którego pod ten czas góra należała, widząc to, dał się skusić namowom kusego i zaczął rozmyślać gorąco, jakby się do skarbów można dostać. Nie była to rzecz łatwa; podług powieści kusego do wydobywania ich konieczne potrzeba było szerokiej motyki i rydła, na to zaś całe miemie mieszczanina nie starczyło. Wkrótce jednak znalazło się z nim do wspólni kilku łakomych sąsiadów.

Rozumni a pobożni przyjaciele odradzali im gorliwie, przedstawiając, jako mając z łaski Boga pewny kawał chleba, nie powinni sięgać po źle nagromadzone bogactwa; jako kusemu nigdy dowierzać, osobiście zaś, że temu kaducznie coś złe z oczu patrzyło.

Ale zaślepieni chciwce ani ich słuchać nie chcieli, a mając się za mędrszych od innych prostych ludzi, szydzili w oczy z odradzających i robili swoje. Zadłużyli się po uszy, pozostawiali u żydów gospodarstwa, aż wreszcie były gotowe: szczerozłoty rydel, oskard i motyka. I zabrawszy je z sobą, poszli z kusem na górę.

Począwszy od rannej zorzy, kopali naprzemiennie w piasku przez dzień cały; aż o północy dokończyli się na koniec do ogromnego kamienia, pod którym, zapewniał kusy, miał się zaraz skarb ukazać. Jeden po drugim próbowali mieszczanie, ale żaden nie mógł dźwignąć ciężkiego głazu; wtedy sam kusy spuścił się w dół, wraz ze złotymi narzędziami.

W tej chwili z wieży kościoła rawskiego wybiła 12-ta godzina... Góra zaczęła drżeć i grzmieć straszliwie w swej głębi, płomień siarczasty z dymem buchnął z dołu, i kusy dyabeł, ryknawszy piekielnym śmiechem, zapadł się ze wszystkim w ziemię, która się napowrót zawarła, jakby nigdy nieruszona...

Mieszczanie, przywiezieni do ostatniej nędzy, jedni się powieszali i potopili z rozpacz, inni z żalu poumierali, inni poszli żebrac z torbami po świecie. Jeden z nich, jeszcze przed niedawnymi laty miał bywać na odpustach w Miedniewiczach.

I od tego to nieszczęśliwego wypadku góra dyabelskiej dostała nazwisko.

Góra, o której powyższe podanie, leży pomiędzy miastem Rawą a wsią Gluchówkiem, na łąkach do tej ostatniej należących. Okrągła, jak na dzieło rąk ludzkich ogromna, z piaszczystej usypana ziemi, trawą i gdzieindziej tylko krzewami porośła; u podstawy jej dotąd rozeznaczyć można ślady rowu. Na wierzchołku, wklęsłym i nierównym, jak to zwykle na zgliszczach dawnych grodów bywa, widać miejscami sterczące kamienie ogromne, niby szczęty fundamentów.

Podanie przywiedzione spisałem po części podług, tego co mi na miejscu (1842 r.) opowiedziano, więcej zaś jeszcze podług zasłyszanych powieści o dziadów na odpuszcie, w niedalekich ztamtąd Miedniewiczach.

Co do ostatniej części jego, wiarogodne osoby i sam ówczesny dziedzic Gluchówka, zapewniały mnie, że istotnie za czasów pruskich oszust jakiś, obiecując wydobyć skarby z góry tej, przywiódł do zupełnego upadku kilku mieszczan lekkomyślnych z Rawy.

PODANIE MIEJSCOWE

od Łomży.

I.

O WIELKOLUDACH.

W okolicy tej, nad Narwią, miały kiedyś mieszkać Wielkoludy. Były one tak ogromne, że chłopiec dziewczynie swojej przez rzekę jabłko z ręki do ręki podawał.

Kiedy bili się między sobą, stali jedni na prawym, drudzy na lewym brzegu Narwi i ciskali na siebie kamieniami, wielkimi jak koło młyńskie; jeden z takich kamieni nie doniósłszy, padł w rzekę i leży dotąd wśród wody.

Przed kilkadziesiąt laty, kopiąc nad brzegami, znaleziono kości tych Wielkoludów i do kościoła oddano.

II.

O GÓRZE ZAMKOWEJ.

Ćwierć mili może od Łomży, idąc w górę rzeki, tuż nad brzegiem, pośród innych nadrzecznych wzgórz, znajduje się pagórek, oddzielnie stojący, nie-

zbyt wielki, zamkową górą zwany; ślady murów kamiennych, w ziemi tkwiące, stwierdzają tę nazwę.

Podobnie jak niemal o wszystkich starych zamczyskach i zgliszczach ich w Mazowszu, tak i o tu stojącym niegdyś, powiada się, że był królowej bony własnością. O końcu zaś jego następne są powieści:

Władnaca tu niegdyś księżna, czy królowa, (później niektórzy właśnie Bona), miała jedynego syna, który bez jej woli poślubił sobie ubogą sierotę. Rozgniewana tem matka synową straciła, syna zaś, przywiązawszy go na dzikim koniu, z zamku wygnać kazała. Koń, przepłynawszy Narew, tułał się długo z młodym księciem, aż go zaniósł do jednej wsi wśród lasu leżącej. Ludzie, schyciwszy konia, zdjęli z niego paniecia poranionego, a opatrzywszy głodnego marchwią, jako najlepszem jadłem jakie mieli, nakarmili.

Księżę, przyszedłszy do siebie, zebrał ludzi z tej i z pobliskich wsi, uzbrojonych jako mogli, i szedł z nimi zdobywać zamek ojcowski. Zdobył go i zburzył, a po ucieczce matki sam panem zostawszy, przyzywał ku sobie mieszkańców onej wioski, co go od śmierci wybawili.

— Co to była za potrawa, którąście mnie pośilali?— spytał, jako pan taki oczywiście nie wiedząc nic o tak prostej stawie.

— Marchew!— odpowiedzieli chłopi.

— Odtąd wieś ta cała do was należy nazywać się ma Marchwiny, wy zaś wszyscy szlachtą Marchwińskimi—zawyrokował księżę.

Wieś ta ma dotąd istnieć za Narwią, jako osada drobnej szlachty tegoż nazwiska.

Druga wersja od powyższej różni się w końcu, podług niej bowiem oblężona w zamku matka, nie chcąc się synowi poddać, zakłęła się i wraz z zamkiem w ziemię przepadła.

To ostatnie zakończenie, lepiej niż pierwsze, przystaje do dalszego o zamkowej górze szczegółu, że w niej niezmiernie skarby, pod strażą złych duchów, kryć się mają. Można by je z zaklęcia uwolnić i wziąć, gdyby księża z fary łomżyńskiej, w uroczystej procesji przyszedłszy, odprawili mszę na górze; warunek jednak, że tak wybrać się z kościoła trzeba, żeby za niczem co do nabożeństwa należy nie wracać.

Dwakroć przedsięwzięło duchowieństwo tameczne spełnić to zadanie, ale za każdym razem jakieś drobnostki zapomniano. Raz trzeci wreszcie wybrano się już we wszelkiej zupełności i procesja doszła już pod samą górę. Wtem, nie wiedzieć z kąd, z góry pokazała się świnia w ornat ubrana i koziołkując przez łeb na dół spadała. Wszyscy obecni i nawet celebrujący w śmiech.

Wtedy z głębi góry dał się słyszeć głos:

— Takie to wasze nabożeństwo! że jedna świnia je przerwała?... i wy chcecie z dyabłem wojować?

Na to przerażeni i istotnie upokorzeni księża wrócili z niczem do fary, i nikt już więcej o dobiec skarbow nie myśli.

Miedzy gminem tutejszym wreszcie utrzymuje się mniemanie (w wielu miejscach tak u nas, jak i za granicami polskimi), że lochy w górze zamkowej za-

warte łączą się pod ziemią z kościołem farnym w Łomży, budową dla starożytności i składu swego uderza ją wyobraźnię.

PODANIA MIEJSCOWE WARSZAWSKIE.

I.

SYRENA.

Jak wiadomo, miasto Warszawa ma za godło Syrenę, czyli, jak ją gmin czasem nazywa, morską pannę. Pochodzenie tego, w kraju od morza dalekim dziwnego herbu, dotąd podobno niewyjaśnione. Może nie bez związku z nim będzie podanie, które dzieckiem będąc pomiędzy staromiejską ludnością zasłyszałem, że kiedyś, gdy jeszcze Wisła szła tuż pod zamkiem, w miejscu gdzie dziś jest ulica Dunaj, był strumień czy źródło, tegoż nazwiska, a w nim mieszkała Syrena.

Jakkolwiek dawno już dosyć gdy mi to powiadano, jestem pewien, że mnie pamięć nie zawodzi, że tu wiernie słyszaną rzecz powtórzył.

Po roku 1840, gdym z zamiarem szukał, ażali podania o Syrenie nie znajdę gdzie szerszego i szczegółowszego, już tylko kilka starych osób powtórzyć mi je umiało, nic jednak więcej nad to, co już wiedziałem.

II.

KOŚCIÓŁ N. P. MARYI.

Było to dawnych, bardzo dawnych czasów, kiedy na miejscu gdzie dziś stoi Warszawa, las jeszcze gęsty porastał, nieopodal gdzieś, nad Wisłą, mieszkał był bogaty młynarz Warsz. Przy pracy i oledności szczęśliwie mu się darzyło; chleba i miodu nie brakło, a grosza, co gdzieś tam w ziemi leżało w miedzianym zachowany kotle, mógłby mu pewnie nie jeden z ówczesnych książąt pozazdrościć. Otóż zdawało się, że onemu młynarzowi nicby dolegać nie miało; on przecież często był smutny i często, mówiąc do żony swej, powtarzał: „Bóg nam nie łaskaw.” I słusznie trapić się mógł, dotąd bowiem ich miłość, jak kwiat zawczesny, była bez owocu. Oboje tedy hojne dawali jałmużny, a z porankiem powstając i kładąc się spać wieczorem, prosili gorąco Maryi Bogarodzicy, aby im zesała potomstwo raczyła.

I stało się, że jednego wieczora Warsz, modląc się dłużej, niż zwykle, snem znużony zasnął był kłęcząc. A gdy zasnął, przed olśnionemi oczyma jego ukazała się, — otoczona chórami aniołów, w szacie z kolorowej tęczy, z małym synaczkim na ręku, — błogosławiona Boga-rodzica Marya. I kiedy młynarz uląkł się wielce, rzekła doń: „Nie trwóż się, miły człowiecze! a posłuchaj co ci powiem i uczyni to, — chcesz li by wysłuchane były prośby twoje. Oto, skoro ranek, powstawszy wstaniesz i pójdziesz, idąc

po nad brzegiem rzeki i będziesz szedł aż dopóty, dopóki niezobaczysz śniegu, bielącego się na ziemi. I na miejscu tem zbudujesz kościół, ku czci imienia mego, i sam około niego zamieszkasz. A narodzą ci się liczne niemowlęta i błogosławić im będę, jak długo w enocie i wierze żyć będą.” To powiedziałszy, zniknęło widzenie; a młynarz, cały drżący, wstał ze snu. Na niebie właśnie poczynąło świtać; przetoż upadłszy znów na ziemię, dziękował Bogu za objawienie, a pchłwyciwszy wędrowną łaskę szedł, jako mu przykazano.

Było to w sam pośrodek żniw, w lato gorące i suchel. Młynarz przecież, nietracąc ufności, szedł wciąż po nad brzegiem Wisły, choć pod stopami jego piasek był jak żar gorący, a trawa, żółta od słońca, świeciła się na pagórkach. — Ażci, gdy niedaleko jeszcze uszedł w swej drodze, o samym największym upale południa ujrzy na wysokiej górze bielący obrus świeżego śniegu. Złożył zatem na onym chłodnym kobiercu modły dziękczynienia gorące i wesół wrócił do domu. — Wnet zwołani rzemieślnicy jęli się budowy kościoła; a że bogaty młynarz niczego nieszczędził, rosła ona jak na drożdżach i w rok stanęła cała taką, jaką jest po dzisiaj dzień. Na wieczną swego rzemiosła pamiątkę rozkazał Warsz mularzom w tylną ścianę wbudować ogromny kamień młyński. — Kościół poświęcony został pod nazwaniem N. P. Maryi Śnieżnej, — a tegoż samego dnia chrzczono w nim dwoje bliźniąt, dziątek młynarzowych.

III.

PAN JEZUS CUDOWNY U FARY.

U fary

Jest Pan Jezus stary!

Przystawie warszawskie.

W kościele katedralnym Śgo Jana, czyli farze staromiejskiej, w bocznej kaplicy koło presbiterium, zwykle od rana do wieczora modłącemi się zapelnionej, znajduje się drewniana figura ukrzyżowanego Jezusa, w przyrodzonej wielkości, — powszechnie za cudowną uznawana. O niej są trzy, następujące, podania:

1.

Kiedys, podczas wojny z Turkami, wojownik jeden, rodem z Warszawy, dostał się w niewolę niewiernych. — Zaprowadzony do tureckiej stolicy, zo stał tamże przeznaczony do służby przy sułtańskich koniach. — Przy studni, u której konie pajał, stała niedaleko wbita w ziemię figura męki Chrystusowej, do niej-ż Turcy swoje bydłęta wiązali, bluźniąc jej, plwając i smagając biczami. Zamierało na ten widok serce prawowiernego Mazura ze zgrozy i umyślił sobie raz położyć przecie koniec pogańskiej swywoli. Jednego tedy wieczora, gdy go nikt nieuwazał, pobiegł omackiem do studni, a wykopawszy krzyż z ziemi, ucałowawszy nogi Zbawiciela, rzucił go w głęboką studnię, mówiąc: „O Jezu mój! toć lepiej zgnieć tam we wodzie wizerunkowi Twemu, ni-

zli cierpieć zniewagę i uragowisko niezbożnych nieprzyjaciół Twoich.

W kilka lat później udało mu się szczęśliwie uciec z niewoli i do rodzinnego powrócić miasta. — Tu, dnia jednego, siedząc w oknie swego domu, posłyszał na ulicy zgiełk niezmierny biegącego tłumnie ludu; wychyliwszy się więc, pytał, coby się takiego stało?

— Cud, cud! na Wiśle pod zamkiem—odpowiedzieli z ulicy biegnący.

I on zatem wyszedłszy z mieszkania, podążył tam za drugimi.

Na brzegu rzeki, tłuszcza niezliczona narodu wszelakiego, klęcząc z odkrytymi głowami, modliła się głośno Bogu w obec widomego cudu: bo oto Wisła, środkiem najsilniejszego prądu, krzyż z wizerunkiem Chrystusa płynął, przeciw wodzie, stojący jakby na ziemi.

Biskup od Śgo Jana, z duchowieństwem całym, w uroczystych szatach, z zapalonemi świecami, wsiadł do promu, chcąc płynąć na przyjęcie cudownego gościa; pomimo jednak ciszy zupełnej w powietrzu i usiłowań najlepszych przewoźników, żadną miarą ku niemu zbliżyć się nie mogli.

Ów zbiegły jeniec turecki poznał odrazu krzyż, ten sam, który do studni był wrzucił; stanąwszy tedy przed biskupem, opowiedział mu rzecz całą. Gdy zaś, na rozkaz biskupa, siadłszy w łódź odbił od brzegu, cudowny wizerunek sam podpłynął doń i pochylił się w jego ramiona. Tak więc na brzeg wyniesiony, — ze czcią niezmierną i radością mies-

kańców do Fary zaprowadzon, — umieszczony jest w ołtarzu, w którym po dziś dzień z cudów mnogich słynie.

2.

Z czasem ołtarz ten okrył się licznymi darami pobożnych, a głowę Chrystusa przyozdobiła droga korona z brylantów, dotąd na niej błyszcząca.

Zdarzyło się, że raz złodziej niejaki, skuszony chciwością, zakradł się wieczorem do kaplicy, — a w nocy, wszedłszy na ołtarz, ściągnął kosztowną koronę ręką świętokradzką. Lecz gdy z nią chciał zniżyć na ziemię, ręka cudownego posagu pochwyciła go—za jeden włos tylko: a przerażony złoczyńca próżno silił się uwolnić, i jakby najtwardszym przykuty łańcuchem pozostał na ołtarzu do białego dnia. O świcie, dziadek kościelny, przyszedłszy zapalać świece do mszy, spostrzegł go i dał znać do księży. Zbiegło się zatem duchowieństwo całe i mnogość mieszczan z poblizka, a oburzeni zuchwałą zbrodnią, chcąc oddać go na ukaranie, ściągać złoczyńcę zaczęli. Lecz próżne były wszystkie wysiłenia: — włos w ręku Chrystusa pozostały nie dał się ani zerwać, ni mieczem rozciąć, ani płomieniem przepalić.

Radzili tedy jedni: na miejscu go zaraz ściąć; drudzy: słomą ze smołą obwinąwszy, spalić; inni: klezczami żelaznymi szarpać.

— A ja zaś sądzę—odezwał się z tłoku chłop sędziwy, na targ do miasta przybyły—woli go Bożej najlepiej zostawić. Jeśli ukarać go zechce, bez ludzkiej zdolen uczynić to pomocy; a jeśli przebaczyć woli, jakoż mu się przeciwieć godzi?

— Prawda twoja, ojcze! — wykrzykli wszyscy przytomni — niechaj się stanie, jako on rozsądzi...

I oto nagle rozwarły się palce zaciśnięte posągu, wolno puszczając grzesznika, — dając ztąd znak narodowi o nieskończonem miłosierdziu boskiem.

Złodziej, skruszony łaską doznaną, odpokutował zeszłe występne życie i stał się cnotliwym człowiekiem.

3.

Dawniej bywało, że cudownej figurze rosły włosy na głowie, jakby żywej osobie, — które biskup co rok zbierał i na relikwie wiernym rozdelał. Od czasu wszakże, jak ktoś, skrycie, niegodną obciął je ręką, włosy odrastać na zawsze przestały.

IV.

BAZYLISZEK ¹⁾.

Za panowania króla Zygmunta-Augusta przytrafiło się w Warszawie, że w sklepach pod pogorzałą

¹⁾ Podaję tu wypadek ten o tyle tylko, o ile po dziś trwał w opowiadaniu staromiejskiej ludności; ktoby go chciał poznać z większą dokładnością, znajdzie w zbiorze powieści: Nowy gabinet powieści S. Z. Sierpińskiego, — gdzie treść, wyjęta z starego kalendarza Stanisława z Łazów Duńczewskiego, oprawna jest jeszcze w ramy wybornej opowieści.

kamienicą na Krzywem—Kole (jednej z ulic staromiejskich) wylął się był Bazyliszek, — którego natura jest takowa, że wszystkie żywe stworzenie samem wejrzeniem zabija. Tak się też stało z dwojgiem drobnych dziattek, co do owej piwnicy igrając zabiegły, i z dziewczką, co ich szukając tam zaszła. — Wyciągnięte osękami trupy były nabrzmiące, pełne pryszczy i plam, z czego świadomi rzeczy wnieśli o bytności Bazyliszka. Urząd miejski posłał do piwnicy winnego śmierci zbrodniarza, okrytego zewsząd zwierciadłami, obiecując mu przebaczenie, jeśli potwora zabije.

Jakoż Bazyliszek, jak skoro w zwierciadło popadł, padł, własnem zabity wejrzeniem.

V.

Z B Ó J C Y.

Przed stu jeszcze, lub mało co więcej laty, nowe miasto warszawskie otaczały zarośla i bagna, a podczas gromnic, nieraz bywało, wilki przybiegały nocą w rynek, wyć pod jatkami rzeźników.

Za owych to czasów, w późny zimowy wieczór, przyszedł do jednej zamożnej, w pobliżu kościoła N. P. Maryi, gospody, dziad żebrzący, prosząc, aby go na nocleg przyjęto. Za zezwoleniem gospodarzkiem leżał sobie na ciepłym zapiecku, — a wnet też i wszyscy domowi do snu się układli.

Kiedy już dobrą godzinę wszystko w izbie, jak makiem zasiał, cicho było, — szynkarka, która dotąd zasnąć niemogła, posłyszała szelest po za piecem — i dziad, wyszedłszy przybós na podłogę, pełz oமாகiem do komina. Tu, rozdmuchawszy zarzewie, zapalił wydobytą z torby świeczkę z trupiego łożu, której wiadoma własność, że dopóki się pali, nikt ze śpiących zbudzić się nie zdoła.

Złękła dziewczyna ukryła pod pierzynę głowę; skrycie jednak śledząc oczyma każdy krok dziada, widziała, jak szedł od łóżka do łóżka, ze świeczką w jednej, a ogromnym nożem w drugiej ręce, badając każdego, czyli śpi... Naostatek przyszedł i do niej, a ściągawszy pierzynę z głowy, począł się jej bacznie przyglądać. Ona, zaledwie oddychać śmiejąc, zawarłszy oczy, leżała jak drewno, modląc się tylko w duszy do Matki Najświętszej; dziad jednak coś takiego dostrzedz musiał na jej twarzy, że pozornemu nieufając snowi, począł ją łechtać w podszwy, — to znowu drapać i szczypać po twarzy, — nareszcie świecą pod piętami smalić, aż skóra skwierczeć zaczęła, wzdymając się w bąble.

Dziewczyna wszystko mężnie wytrzymała, nie dając znaku czucia po sobie; a wtedy dziad, pewny swego, postawiwszy na stole świeczkę, wyszedł na ulicę.

Posłyszawszy to, szynkarka co tchu spuściła się z łóżka, popęzła na czworakach do sieni i żelaznemi zawarła ją ryglami.

Jeszcze niepodążyła zachołgać się nazad do izby, kiedy pięciu zbójców przyszło pode drzwi; zna-

lazłszy je zawarte, straszliwie kłąć poczęli, a mnie-many dziad zawołał:

— To ta psia para szynkarka niespała!... Nie ona szelma, ale ja, com ją przy życiu zostawił.

Ona tymczasem, dosięgłszy stołu, na którym trupia paliła się świeczka, zalała ją ludzkim moczem (bo inaczej zgasić jej niepodobna) i pobudziła dom cały...

Długo później leżeć musiała, nim powróciła do zdrowia; a ozdrowiawszy, lękając się zemsty zbójców, na zawsze opuściła Warszawę.

VI.

ZAKŁĘTA KSIĘŻNICZKA NA DYNASOWSKIEJ GÓRZE.

Pomiędzy Kazimierowskim i Ordynackim gmachem, nad Wisłą, na wysokiej, pustej górze, sterczą czarne, zrujnowane mury, przez niemieckiego księcia de Nassau, za panowania Sasów, rozpoczętego, ale niedokończonego pałacu.

W obszernych pod nim, wodą zalanych piwnicach, pływać ma księżniczka, w kaczkę zakłęta. — Są chwile, kiedy wraca do ludzkiej postaci, — a wtedy, jeśli komu spotkać się ją zdarzy, podaje mu warunki swego wybawienia, w nagrodę przyrzekając oddać rękę.

Do wybawienia jej niepotrzeba ani męztwa, ani cnoty, ani wytrwania; dość tylko w jednym dniu na

zbytki same strwonić sto dukatów, które księżniczka zalicza. Jak bądź się przecież lekkim widzi to zadanie, nikt go dotychczas spełnić niepotrafił;—i księżniczka wciąż zostaje pod mocą ciężącego na niej zaklęcia ¹⁾).

¹⁾ Dla zupełności tylko zamieściłem tu i ten skarłatej i skoślawionej wyobraźni utwór, jak bądź pewien jestem, że nie na miejscu powstałym, lecz jest przynosnym towarem z Niemiec,—gdzie mnóstwo podobnych napotyka się podań. Do nas Przyniosła go zapewne wędrująca czeladź rzemieślnicza, między którą też głównie się przechowuje.

DODATEK.



KILKA PODAŃ, BAŚNI, GADEK

z Wielkopolski i Szlązka.

S T R A C H.

Baśń.

(Z Wielkopolski).

Na wierzchołku jednej góry,
Stały zamku pyszne mury.
Dach czerwono malowany,
Duże okna, białe ściany...

Nikt nie zgadnął, nikt niewiedział,
Co też tam za kaduk siedział;
Ale że siedział, to pewna.

A. Odyniec

Gospodarz jeden miał dwu synów; jednemu imię było Walek, drugiemu Wojtek.

Walek był, jak wszyscy ludzie: rozumiał to, co i drudzy, ale prochu by nie wymyślił; zwano go jednakże *mądrym*, dla tego, że miał brata niezmiernie głupiego.

Głupi Wojtek na żaden raz nie mógł zrozumieć, co to znaczy *strach*. Ile razy słyszał mówiącego starszego brata, że tu i owdzie był w strachu, wypyty-

wał go natrętnie, ale wszystkich tłumaczeń ni raz pojąć nie umiał. Znudzony i gniewny, mądry Walek umyślił sobie, że go raz strach znać nauczy.

Jednego ciemnego jesienno wieczora, ojciec posłał *głuptasa* do karczmy po gorzałkę.

Walek wiedział, że dla skrócenia drogi chodził on zawsze przez smętarz. Korzystając tedy z pory, wymknął się cichaczem z chaty, uczernił twarz całą sadzami, okrył się na głowę czerwoną spódnicą matczyną, a wzięwszy w gębę skrzący węgiel, stanął na samej ścieżce środkiem smętarza wydeptanej. — Niezadługo nadszedł Wojtek, w karczmie trochę zakropiony, a widząc postać na drodze swej stojącą, zawołał z daleka:

— Hejże no ty! z ogniem w pysku! usuń się z ścieżki na stronę, bo nie będę ci lał w błoto.

Ale Walek, zamiast się usunąć, jęknął tylko jak mógł najokropniej.

— Głuchyś, czy co? — wrzasnął zbliżając się głupiec — zejdz mi z drogi, a jak niechcesz, to cię tak zamaluję, że fajczysko ci wyleci!

Mądry brat pomyślał sobie przecież: „taki ty w końcu uciekniesz” — i jęknawszy jeszcze straszniej, rozczapierzywszy obie ręce, szedł prosto, jakby go chciał schwytać.

Ale się, mimo rozumu, piekielnie ten raz oszukał: Wojtek, co miał uciekać, podniósłszy w górę kij swój dębowy, rzucił się obces na stracha i począł grzmocić nielitośnie. Mądrali, w tym niespodzianym popłochu, węgiel wpadł z zębów do gęby, piekąc go w gardziel i dławiąc: ryczał więc, niemogąc mówić, jak prawdziwy potępieniec. Uplatawszy się spódnicą,

uciekając upadł w błoto, że zanim węgiel z gęby dostał i dał się poznać Wojtkowi, wzięł pewno swoje sto kijów.

Wojtek, skoro poznał brata, począł go serdecznie przepraszać, chociaż się nie mógł wydziwić z kąd i po co wzięły mu się takie głupstwa. — Zgrzytając zębami z wściekłości i bólu, ledwie się dowlókl stłuczony Walek do domu. Skoro ojciec zobaczył, co się z jego mądrym synem stało, porwał za batóg okrutnistry, i byłby nim porządnie głupiego obłożył, gdyby ten nie uciekł wcześniej na wyżki i nie wciągnął drabiny za sobą.

Nazajutrz niebogi Walek rozchorował się na dobre, że mu krew puszczać i boki bańkami całe obstawiać musieli. Ojciec zaś zajął się ztąd ku głupiemu Wojtkowi tak nieubłagany gniewem, że nie chcąc, jako mówił, próżno batoga psuć na jego oślim grzbiecie, wygnał go z domu na cztery wiatry, żeby go bieda rozumu nauczyła. Napróżno matka, — która, jako zwykle matki, najbardziej głupiego synała miłowała, — płacząc przyczyniała się za ulubieńcem; musiał, zabrawszy manatki i mieszek spory z grosiwe, od matki dany, wędrować z chałupy w świat.

— Mój Boże! mój Boże jedyny! — medytował sobie po drodze — tatuś jak psa precz wygnali! Za co? żem nie mógł ni raz poznać stracha!... Oj! żeby też gdzie tego stracha spotkać!...

Na drugi tydzień wędrówki swojej zaszedł głupcy Wojtek na południe do jednej karczmy. Kiedy go

zaczęli pytać, dokąd i po co wędruje, odpowiedział szczerem sercem: że sam nie wie dokąd idzie, a szuka poznać gdzie stracha. Co żyło, buchło śmiechem na te słowa, nie wiedząc, czy to głupiec, czy frant; karczmarz zaś, klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— No przyjacielu! jeśli ci tylko o to idzie, nie łatwiejszego, jak tu poznać strach.—Widzisz, hen na górze, ten ogromny zamek? od Bóg wie jak już dawna stoi on pustkami, bo przed strachami żywa dusza mieszkać się w nim boi. Idź, jeżeliś tak stracha ciekaw, tam spać, a będziesz go miał dosyć.

— Juści, że pójdę, kiedy tak—odpowiedział Wojtek—a jeżeli tam stracha na prawdę poznam, zapłacę wam uczciwie za dobrą radę. Musicie mi tylko zanieść co jeść i pić, bo na czczo znudziłoby mi się czuwać przez noc całą.

Ludzie i karczmarz sam, widząc, że on na prawdę się wybiera, rzucili żarty i jeli przekładać, żeby nie narażał próżno młodego życia, bo już nie jeden zuch taki za ich pamięci przepadł w zamku na wieki. Ale Wojtek ani sobie mówić nie dał; a im ci bardziej strachem przerazić go chcieli, tem więcej cieszył się, że go pozna.

Niemogąc odwieść głupiego od zuchwałego przedsięwzięcia, czyniąc mu k'woli, zanieśli przed wieczorem do zamku drew na noc całą, parę kielbas, parę kiszek, potężną rynkę kartofli ze szperką, a wreście flaszkę jedną i drugą gorzałki. Wojtek, pewny, że głodu mieć nie będzie, pożegnał z wieczorem odradzających w karczmie towarzyszy i poszedł wesół na samotny nocleg.

W przestwornym jednym pokoju, na ogromnym kominie, rozniecił sobie ognia, a przysunawszy do niego krzesło szerokie i stół, postawił na nim wszystkie swoje zapasy. Potem, zapaliwszy fajkę i wyciągnawszy się w wygodnem krześle, przysłuchiwał się, w pół drzemiąc, wichrowi gwiżdżącemu w czeluściach, tak żałośnie i przeraźliwie, że każdemu innemu włosy na głowie by powstały. Raz po raz popił sobie kieliszek gorzałki,—wreszcie i jeść mu się zachciało. Zabrał się tedy do gospodarstwa: postawił rynkę z kartoflami na ogień, a kielbasy przywiązał do drewnianego roženka, zaczął je zwolna przypiekać.

Kiedy w najlepsze kartofle skwierczeć a z kielbas tłuszcz wonny kapać poczynął, — „lece!” — dał się w głębi komina słyszeć głos straszliwy.

— Tam do licha! czekaj chwilę, niech wieczór z ognia zdejmę — odpowiedział głośno Wojtek, zestawiając rynkę pod stół i kładąc na niej swój rożenek. — No, teraz leć sobie kiedy chcesz!

Zaszumiało coś wzdłuż komina i na rozpalone ognisko upadło pół człowieczego ciała, od stóp aż do pasa, jakby tylko co przecięte, bo jeszcze krwią sączące. Wojtek, niezmiészany wcale, widząc, że mu ogień przygasza, pochwycił je za obie nogi i po za siebie przerzucił. Ułatwiwszy się, chciał już na nowo swoją wieczerzę nastawiać, aż w tem:—„lece!”—ozwało się w kominie po raz drugi.

— Leć sobie, kiej chcesz, na złamanie karku—odpowiedział głupiec, zły, że mu spokojnie zjeść nie dadzą.

Tą razą na ognisko zleciało drugie pół człeka, ze straszną, brodatą głową, w której krwawe, ogromne ruszały się oczy. Wojtek i to za pierwszą przerzucił; gdy zaś chwilę przeczekawszy nic w kominie nie posłyszał, stawiał znów rynkę i rożenek w ogień. Bez żadnej więcej przeszkody dosmażył swoich perek i dopiekl kielbas, a wyłożywszy wszystko na misę postawił na stole.

Wtem, gdy się za czemś obejrzał, ujrzał, że z obu onych połów zrósł się cały, wysoki, barczysty, srogiego wejrzenia człowiek, który milcząc stał za jego krzesłem.

— Ho-ho! kolego! a cóż to tak stoisz, niby trusia? Weź sobie drugie krzesło i siadaj zdrów za stół; nie lubię kiedy sam jem, żeby mi kto głodny w gębę patrzył.

Straszny człowiek wziął krzesło i usiadł w niem milcząc, ale do jadła się nie brał. Wojtek, co trochę ujadł, to obracał się do niego z prośbą; wreszcie, widząc, że to próżno, obrażony, niechał go w pokoju, i pałaszował co Bóg dał. Alić kiedy ostatnią łyżkę, z ostatnim kęsem kielbasy miał już do ust kłasoć, milczący gość ozwał się ponuro:

— Jadłeś sam, dajże teraz mnie.

— Niechciałeś, kiedym ja cię prosił, zjedźże teraz psi gnój, kiedys głodny — odrzekł rezolutnie Wojtek, polykając resztę stawy.

— Czekaj! zaraz ja tutaj z ciebie zrobię pieczeń — zaryczało straszdyło, zrywając się do niego.

— Pomału, bratku, pomału! Jesteś to ty może ten strach? he?.. To czemużes taki głupi, nie jesz kiedy ci co dają? Ja już całe dwie niedziele

włóczę się, żeby cię poznać, a niebyło zaczem widzieć, kiedyś taki kiep.

— Zaraz ty mnie poznasz — wrzasnął strach i porwał Wojtkę za gardło.

Ale i Wojtek nie dał sobie bezkarnie pluć w kaszę; jak huknął raz i drugi pięścią po strasznym łbie, ogłuszony potępieniec padł na ziemię jako kłoda drzewa. Głupiec powalonymu siadł na piersiach i trzymając mu swój kozik na grdyce, pytał:

— A no, bratuniu? kto z nas mocniejszy? widzisz na co ci twój sążeń cielska się zdał... Cóż mi dasz teraz, żebym cię żywo wypuścił?

— Dam ci skarb wielki, o jakim nie śniłeś, ale nie za to, żebyś mnie puścił, tylko, żeś mnie zmógł, bo przez to zbawiłeś mnie od mąk, które od stu lat znosiłem. Byłem ja kiedyś tu panem, a przytem okrutnym siłaczem; kogo zaś, wyzwawszy, przemógłem, na wpół piłą go przerzynałem. Za to co noc mnie dyabli teraz piłowali, aż póki nieznalazby się ktoś, coby nademną wziął górę. Nie byłbyś też tego dokazał, gdybyś mi oddał ostatni kęs twego jadła, bobym pożarł z nim wszystką twoją siłę. No! a teraz pójdz za mną, wziąć nagrodę, którąś zarobił.

Wojtek szedł tedy za strachem, aż do ogromnej piwnicy, gdzie było pełno srebra, złota i drogich kamieni. Wybawiony potępieniec pozwolił mu brać ztąd co zechce, a Wojtek brał też ile unieść tylko zdołał. Od blasku zaś tylu skarbów tak mu się na raz rozjaśniło w głowie, że wybierał samo złoto i najkosztowniejsze klejnoty, choć przedtem jako żywo nie tego wszystkiego nie widział!

Obładowawszy się dobrze, chciał podziękować swemu dobrodziejowi, ale ten już gdzieś zniknął. „To i tak dobrze! nie będę mu się kłaniać” — pomyślał zhardziały głupiec, i wyszedł z zamku, wlokąc się jako mógł pod ciężarem swej zdobyczy.

Kiedy powrócił do karczmy, gdzie go ciekawa gawiedź jak cudo jakie witała, nie był to już wczorajszy Wojtek! Na wypytывania ludzkie mało odpowiadał, skarżąc się, że go strach zbił strasznie, tak, że ledwie z życiem ująć zdołał.

Karczmarzowi, choć obiecał, nic za wczorajszą radę nie dał, a najawszy podwodę, kazał się wieźć — nie do chałupy, jeno do miasta, gdzie jako pan zaczął żyć sobie.

Za niedługo kupił piękne dobra, wystawił w nich pyszny pałac, ożenił się ze śliczną hrabianką, dawał obiady najlepsze w całej okolicy i słynął aż do śmierci pod imieniem mądrego Wojciecha.

KRWAWE POLE

w Dolnym Szląsku.

W części Dolnego Szląska, graniczącej z Wielkopolską, w okolicach miasta Międzyborza, w bliskości wsi Czarnego Lasu, napotyka się na szeroki obszar ziemi tak czerwonej, jakgdyby niedawno krwiał

czerwoną zlanej. Lud tameczny przypisuje też tę barwę krwi, wylanej kiedyś tak hojnie w boju z Niemcami, że ziemia na wiek wieków nią przesiąkła. Jeżeli nieprawdziwa, jakżeż to malowna powieść ku wyrażeniu dziejów kiedyś tej strony! Dźwięczy w niej echo tejże samej myśli, co w historyczniejszym i znajomyszem podaniu o Psiem Polu; i dlatego sądziłem słusznem ją zapisać¹⁾.

Jako szczegół, ale nie zdający się mieć znaczenia, notuję tu jeszcze wzmiankę, że co noc krwawe widziadło człowieka bez głowy ma błądzić po krwawem tem polu, do dzisiaj nawet często jeszcze widywane.

KOŚCIÓŁ Św. JADWIGI W TRZEBNICY, na Szląsku.

Tam są jakby tysiące
Wojska, które jest śpiące,
Pod kościołem głęboko,
Gdzie nikt dostać nie może,

¹⁾ Pisząc to, przypominam sobie inną podobną wzmiankę gminną, zastysznaną kiedyś w innej stronie Polski, którą dla tejże przyczyny co szląskie podanie tu kładę. Na ruskim Podlasiu, około Janowa, między wsiami Pokinianką i Olszynem, w lesie Kamieniucha zwanym, jest dość obszerna, bujna łązka, choć jej żadna nie skrapia woda. Wieść gminna mówi, że raz Tatarzy, odkrywszy tu mnóstwo schronionej okolicznej ludności, wyrznęli ją — a od leżących trupów ziemia się tak użyzniła i wygniła w dolinę!

Ani żadne ich oko
Niedopatrzy, prócz Boże.

A to wszystko rycerstwo,
A to wszystko żołnierstwo,
Co śpi w głębi, to owe
Co krew lało dla wiary
Całe w sobie krzyżowe.
Jak zwinięte sztandary
Każdy cicho leżący...

C. N.

O trzy mile od Wrocławia, w Szlązku, po prawej stronie Odry, napotyka się, w miłym między wzgórzami położeniu, niewielkie, ale schludne miasteczko Trzebnica, dziś już zupełnie niemieckie, sławne kościołem, w którym grób świętej Jadwigi się mieści. Kościół ten, wraz z okazałym klasztorem do niego należącym, założonym został przez Henryka Brodatego, męża świętobliwej Jadwigi. Według tradycji miał on kiedyś na polowaniu zagrać z koniem w źródłisku tu się znajdującym, a nie mając z nikąd pomocy, uczynił ślub, że jeśli się wyratuje kościół w tym miejscu wystawi. Źródłisko ono, ocembrowane studzienką, dotąd istnieje w piwnicy pod kościołem; pobożni pielgrzymi przyznają mu moc cudowną w uzdrawianiu chorób, a osobliwie ślepoty.

Kościół wraz z klasztorem oddany został zgromadzeniu Cystersek, hojnie przez założyciela uposażonemu.

Gadka gminna opowiada, że pierwsza zakonu tego ksieni, Pietrusza na imię, z Niemiec sprowadzo-

na, gdy jej Henryk, oddając klasztor, zapytał, czy jeszcze w nim czego nie trzeba, odpowiedziała: „trzeba nic” — z kąd wziąć się miała nazwa Trzebnicy. Wywód niezbyt dowcipny, a co gorsza nie prawdziwy, bo oczywiście nazwa ta od trzebieńia zalegającego tu kiedyś lasu powstała.

Dziś, po zniesieniu przez rząd pruski klasztorów i odebraniu na skarb bogatej fundacji, przy kościele trzebnickim kilku tylko jest księży, z których jeden przynajmniej umie po polsku.

Ciało świętej Jadwigi leży w samym kościele, w okazałym z marmuru, ale niezbyt dawnej struktury, grobie; głowa jej przechowuje się w kosztownym i starożytnym relikwiarzu, uwieńczonym mitrą książęcą.

Oprócz tej patronki w kościele tym znajdują się groby wielu książąt i księżn z rodziny Piastów, a między nimi: Konrada, syn Henryka I-o; Przemyśława; Adelaidy, żony Dypolta, margrabi Morawii; Katarzyny, małżonki Jana na Żaganie; Elżbiety, księżniczki Opolskiej; Eufemii, córki Wiktora księcia Ziembeckiego (Münsterberg), Jadwigi, księżniczki z Bukowca (Lübek) i księżny Karoliny Holsztyńskiej.

Ludność polska Szlązka Górnego i Dolnego (koło Sycowa, Międzyborza, Milicza), tudzież powiatów wielkopolskich Szlązkowi przyległych, w wielkiej czci chowa kościół trzebnicki i częstemi go pielgrzymkami nawiedza. Pomiędzy tą to ludnością krąży następujące, myślą, poetycznością i treścią wielce zajmujące podanie.

„Za dawnych czasów przyszli raz byli pod Trzebnicę Turcy z ogromnem wojskiem, domagając

się, ażeby Polacy przeszli na ich wiarę, a kościół na turecki zamienili. Polacy, choć ich była tylko bardzo mała garstka, nie chcieli na to przystać, ale zaczęli się bić. Bili się tak doskonale, że chociaż zaledwie jeden chrześcijanin był na dziesięciu Turków, pobili ich przecież wszystkich; ale cóż, kiedy i z Polaków jedyny jeden dowódca żywy został, a i ten śmiertelnie zraniony.

Święta Jadwiga uprosiła wtedy u Matki Boskiej, że zranionemu dowódcy wróciła zdrowie, a wszystkim, co za wiarę świętą polegli, śmierć na sen zamieniła. Leżą oni wszyscy, przez aniołów przeniesieni, wraz z bronią swoją, w ogromnej jaskini pod trzebnickim kościołem; rany ich się pogoiliły, śpią twardo, ale żyją. Sam jeden dowódca nie śpi, w pośrodku lochu siedzi na kamieniu, z ogromną brodą, na pałaszu oparty i odmawia różaniec.

„Dawniejszemi nieco czasy jaskinia ta nie była bardzo głęboko pod ziemią, a jedna dziewczucha, biorąc piasek, natrafiła raz na wejście. Weszła — aż obaczywszy owych rycerzy, złękła się srodze; lecz dowódca przemówił do niej, żeby się nie bała, ostrzegł tylko, żeby wychodząc, nie poruszyła dzwonu u wnijscia wiszącego. Płocha dziewczyna umyślnie go poruszyła — i oto na dźwięk dzwonu wszyscy wojacy schwycili się ze snu i stanęli pod bronią... Rozgniewany wódz, że wojsku jego sen przed czasem przerwano, zamknął się z niem głębiej w ziemię — i odtąd nikt jaskini tej znaleźć nie może.

„Ale kiedy będzie wojna o wiarę, dowódca ów sam w dzwon uderzy, a śpiący rycerze wstaną,

wyjdą na świat z bronią, będą walczyli i zwyciężali.”

Piękna ta legenda, charakteryzująca doskonale religijnego ducha mieszkańców stron tych, zasługuje na uwagę, jako przykład pojmowania i zachowywania przez lud historycznych zdarzeń, gdyż niezawodnie odnosi się ona do pamiętnej bitwy z Tatarami pod Lignicą, w której zginął Henryk pobożny, syn świętej Jadwigi.

Niepodobna w niej także usłyszeć oddźwięku tej samej myśli, którą znamionuje się wzniosłe i starożytne podanie o Wieży siedmiu wódzów.

LISIE GÓRY W OCIAŹU, w Wielkopolsce.

W teraźniejszym Wielkiem Księstwie Poznańskim, na pół drogi prawie pomiędzy miastem Kaliszem i Ostrowem, wśród grzązkich zarośli do wsi Ociaża należących, znajdują się starożytne okopiska, z powodu mnóstwa jam lisich Lisiemi górami zwane. Nasyp ten składa się z dwóch połączonych z sobą części. Część ku południowi położoną stanowi dość wysoki i stromy kopiec okrągły, u góry wklęsły; z nim łączy się, w kształcie przedłużonej podkowy wał okólny, niezbyt wysoki. Całość ma formę niezgrabnego owalu, a widoczne ślady rowu otaczają ją dokoła. Niedgdy istniały tu reszty murów, które dzie-

dzice pomału na cegłę (chwalebny u nas grubej niewiadomości obyczajem) rozebrali, dotąd przecież znajdują się podobno w ziemi spajane wapnem głązy. Niedawno jeszcze miejsce całe pokrywały ogromne drzewa, po których wycięciu pozostały tylko teraz młodociane dęby i krzewiny. Jeżeli godzi się bez dostatecznych danych na wiatr puścić domysł, rzekłbym, że okopisko to mogło powstać w przedhistorycznych jeszcze czasach, a w następnych wiekach dało gotową do wzniesienia warownego siedliska posadę. O istnieniu ostatniego, prócz śladów muru, świadczy miejscowe podanie.

Podług podania miał tu stać kiedyś warowny zamek pański z kościołem, czy kaplicą. Zdarzyło się, że jednej niedzieli zła pani zamku, odszedłszy sama na nabożeństwo, służącej nietylko że pójść z sobą nie dozwoliła, ale jej jakąś robotę zadała. Rozżalona służebna zakłęta: „Bogdajby się ten zamek zapadł i z kościołem!” — a oto kłątwa w złej chwili wyrzeczona, spełniła się zaraz, i zamek, kaplica, z ludźmi i ze wszystkim w ziemię się zapadły.

W miejscu, gdzie w kaplicy zapadłej chrzcielnica stała, wyrósł z czasem dąb, z którego boku płynęła bezustannie świeża i czysta woda, na choroby bardzo pomocna. Kto i kiedy ściął to drzewo — niewiadomo. Żyjące pokolenie pamięta z niego tylko pień ogromny, nieco wygniły, zawsze czysty, uzdrawiającą wodą napełniony. Przed dziesięciu może laty dopiero rozsadzony został prochem niezmierny ten pień — z którego cztery wozy pełne drzewa być miało. Pod korzeniami jego znaleziono cza-

szkę ludzką i końską szczękę, ale źródło, którego się spodziewano, nie znalazło się wcale i woda święta zniknęła bez śladu, jakby za karę świętokradztwa.

Kiedy jeszcze owa dziwna chrzcielnica w pniu dębowym istniała, dzisiaj będzie może ze dwadzieścia lat temu, trafiło się raz, że dzieci wiejskie wygoniły na Lisie góry bydło i żrebaki, a strzegąc ich, bawiły się ze sobą. Zwykłym dzieci obyczajem obchodziły wesele między sobą, a potem i chrzcini im się zachciało. Z fartuszków tedy, chustek i t. p. uwiły dużą lalkę na dziecko, obrali się chrzestni rodzice, a jeden chłopiec jako ksiądz stanął przy chrzcielnicy. Naśladując kościelny obrządek, zaczerpnął wody z niej w rękę i polewając nią lalkę, wyrzekł sakramentalne słowa: „ja ciebie chrzczę, w imię Ojca, i Syna i Ducha świętego.” Ale zaledwie wymówił, na niewypowiedziany przestach dzieci, lalka zaczęła się poruszać i kwilić niemowlęcym głosem. Wystraszeni, rzucili się wszyscy do jej zniszczenia, dla pośpiechu rozrzynając splecione tasiemki i troczki nożykami: a wtedy na nożach krew się pokazała. — W ostatniem przerażeniu, nieprzytomna prawie, cała gromada dzieci przyleciała bez tchu do wsi, jednozgodnie rzecz opowiadając.

Powieść ta dziwna trwa dotąd z najżywszą wiarą w tej okolicy, a ja mam ją od ówczesnych właścicieli Ociaża. Znałem nawet osobę, która do zabawy owej należała, a która dotąd o zajściu całem jest przekonana i ze skrucłą zrządzenie a przestrogę bożą w niem uznaje.

KLATWA Ś-go WOJCIECHA.

(Z Wielkopolski).

Wspomnienie Świętego Wojciecha w niektórych okolicach Wielkopolski jest tak popularne, jak Ś. Jądwigi na Szląsku, a królowej Bony na Mazowszu. Ztąd nazwisko jego dowolnie mieszane bywa do różnych powiastek i gadek—często w dziwnej niezgodzie z chrześcijańskim charakterem i godnością świętego męża.

Jedna z takich gadek, w zbiorze Siemieńskiego podana, opowiada jako Ś. Wojciech, przechodząc wieś Rudę, w Kaliskiem, rozgniewany na przelatującą srokę, która mu brewiarz splugawiła, zaklął tak sroki, że nigdy odtąd niczyje oko ptaka tego w Rudzie nie widziało.

Mnie zdarzyło się spotkać z powieścią podobnego rodzaju, odniesioną do miasta Wielunia, w Kaliskiem także położonego. — Podług niej miał raz Święty Wojciech odprawiać tam mszę pod gołym niebem, w której cisnące się zewsząd do ołtarza węże, gdy mu sykaniem czyniły przeszkodę, zaklął je, ażeby wszystkie skamieniały:—i tak się stało. Odtąd około Wielunia, na milę obwodu, niema wcale być węży; za skamieniałe zaś węże uważane są licznie znajdujące się w tamtej okolicy skamieniałości, kształt zwiniętego węża mające.

Skamieniałości te zresztą—których kilka w ręku miałem—znajdywane w kamieniu wapiennym, są to ogromne (pół łokcia i więcej średnicy) ślimaki, do pospolitych dzisiaj w wodzie zupełnie form podobne.

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

Przedmowa	5
Sobotnia Góra	9
O dziadowym synu	21
Straszny potwór	36
Znajdek	51
Dwaj towarzysze	66
Strzyga	75
Ucieczka	89
Skarb ukryty	100
Kozielek	107
Drwal i dyabeł	108
Anielska, czyli Dyabelska Góra pod Rawą	120
Podanie miejscowe od Łomży	125
Podania miejscowe warszawskie	128
Strach	141
Krwawe Pole w Dolnym Szlązku	148
Kościół Św. Jadwigi w Trzebnicy, na Szlązku	149
Lisie Góry w Ociążu, w Wielkopolsce	153
Kłatwa Św. Wojciecha	156



Od Nowego Roku 1902

każdy prenumerator

„GAZETY POLSKIEJ”

otrzymuje w zeszytach

Wielkie 4-otomowe dzieło

wspaniałe ilustrowane p. t.

„HISTORIA SZTUKI”

A. SPRINGERA,

w przekładzie Kazimierza Broniewskiego,
zawierające

1,500 reprodukcji arcydzieł malarstwa, rzeźby
i architektury,

wartości 20 rubli,

jako premium bezpłatne.

CENA „Gazety Polskiej” wraz z „Historią Sztuki”
i „Historią XIX stulecia” w Warszawie: rocznie rb. 9,60,
półrocznie 4,80, kwartalnie 2,40, miesięcznie kop. 80;
z przesyłką pocztową: rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6,
kwartalnie rb. 3.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Warecka 14